№ 33 Warszawa, dnia 4 (16) Sierpnia roku 1879.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

FRANCISZEK COPPÉE.

POETA FRANCUZKI.

przez S. z Ż. D.

(Dalszy ciąg).

Z pomiędzy poetycznych obrazków, odczytanych przez Coppego, dajemy w przekładzie jeszcze jeden p. t. *Senacheryb*, wysnuty z dziejów Assyryjskich.

Senacheryb Chaldeję pokonał już całą,
Dumny z wielkich tryumfów, uniesiony chwałą,
Okuł wszystek lud w pęta, starcom wydarł oczy,
I ręce im odrąbał, krew bruzdą się toczy!
Młódź z kraju wyprowadził; kto pozostał żywy
Buduje pyszny pałac, nowy cud Niniwy.

Raz błyszczący od złota, pomknął rączym biegiem
Po za mury stolicy. Nad Tygrysu brzegiem
Spostrzegł siwego starca o porannéj dobie;
Dziad był ślepy i ręce odcięte miał obie.
Dwaj dorodne młodziany wiodą go nad rzeką,
Wlecze się z wolna starzec pod synów opieką;
Król wstrzymał konia w biegu, utopił w nich oko.
Rękę oparł na siodle i duma głęboko.

Młodszy syn kęsek chleba do ust ojcu wkłada,
Starszy objął ramieniem pochyły grzbiet dziada;
Prawi mu coś o wzgórzach o kwiatach na łące,
Maluje wieże miasta w oddali sterczące.
Snać wszystkiem dla tułacza byli dwaj synowie,
Jeden był mu prawicą, drugi okiem w głowie.

Król sunie po murawie, zwolna, ręką prawą
Pogładził zadumany brodę kędzierzawą.
Jeniec dobrych ma synów, rzecze, i dla czego
Gdy widzę jak troskliwie obaj starca strzegą,
Ja zazdroszczę mu w duszy; ażaliż nie kwitnie
Moje liczne potomstwo? Ażalim zaszczytnie
Aspara domu nie wparł potężnemi belki;
Pod zarząd moim synom oddałem kraj wielki,
Drogież łupy sypnąłem onej dziatwie wtedy,
Gdym przygniótł stopą Żydów, i pokonał Medy.
Mają słoni, biegunów i złota do sytu,
Cudne branki i pyszne pałace z granitu,
Otoczone potworów rzędem tajemniczym,
Ze skrzydły, z głową ludzką na tułowie byczym.
Wszelkie, na ziemi znane sypią im rozkosze,
Nie mieliżby mnie kochać? Ja cześć ich podnoszę
Dwóch starszych pilnie strzegę jak źrenicy w oku
Gdy ja siedzę na wozie, oni przy mym boku
Tryumfalnie stąpają: dorodnaż to para,
Mój drogi Adremelek, obok Sarnazara,
Ja na przyszłość do wielkich sposobie ich czynów!
Nocą padł Senacheryb pod mieczem tych synów!

Po odczytaniu Senacheryba, poeta zanalizował historyą tego utworu. Pierwsza iskierka trysła mu z myśli, w chwili gdy zwiedzał muzeum Assyryjskie; odtąd postacie Ninusa, Semiramidy, Nimiassa, przebiegały mu bez ustanku w wyobraźni: odczytywał Biblią, badał prace Assyrologów.

Złośliwi żartowali z tych wyznań, nikt jednak nie śmiał powiedziéć: „Gdzie wiele przygotowań, tam nic z dyalogu!“

Nie były to zresztą próżne przechwałki ze strony poety. W każdym, najdrobniejszym jego poemaciku, znać głębokie studya, bądź historyczne, jeśli przedmiot dotyczy dziejów, bądź psychiczne, jeśli obraz wzięty z prostych wypadków życia. Przebiegnijmy tylko długi szereg utworów Coppego, a w każdym odczujemy głębokie skupienie myśli, w każdym poznamy owoc sumiennéj pracy. W ogólności, cechą poety jest raczéj głęboka rozwaga niż wysoki polot fantazyi. Tego rodzaju zdolność usposabia go szczególniéj do tworzenia dramatów. Nie raz już Coppée próbował sił na téj drodze; poprzestawał jednak na małych, co najwięcéj dwuaktowych obrazkach.

Przekonani jesteśmy, że odważywszy się raz na wielki utwór dramatyczny, pracować będzie wyłącznie w tym kierunku. Nie wszystkim wszystko dano; liryzm całkiem nie przypada do usposobienia poety. Znamy kilkanaście jego erotycznych sonetów; każdy pieści ucho wytwornością atycką, ale żaden nie zadzwoni tem tętnem porywającem serce, jakiem dzwoniły sonety Petrarki i naszego Adama.

Inaczéj przemawiają do serca dramaciki Coppego. Któż nie zna tego *Przechodnia*, co jak listek miotany wiatrem, jak ptaszyna wędrowna, przebiegając kwieciste smugi, spotyka się oko w oko z czarodziejską Sylwią; w zimnem jéj sercu, rozbudza zdrój nieznanych dotąd uczuć i pierwszą łzę dobywa z jéj źrenicy błyszczącéj sztucznym żarem. Nie zatrzymujemy się na tym ślicznym obrazku, znany on z naszéj sceny w pięknym przekładzie pana Kaszewskiego. Pomijamy zarówno wyborny monolog *Bezrobocie*, równie popularny w Warszawie jak w Paryżu; przekład pana Wacława Szymanowskiego, nie odebrał mu wcale pierwotnéj barwy.

Drugi dramacik przedstawiony na scenie paryzkiéj p. t. *Dwie boleści*, wywołał dosyć ostrą krytykę. Nie brak mu wprawdzie zalet psychicznych. głębokiéj znajomości ludzkiego serca. Akcya dramatyczna przeprowadzona doskonale, wadliwa strona leży tylko w pomyśle; usprawiedliwia ją zresztą wiek autora. Coppée miał lat dwadzieścia dwa, gdy kreślił ten obrazek. Pokazuje w nim dwie kobiety zakochane w jednymże poecie; pierwsza z nich bretonka, blizka krewna, zaręczona z nim od lat dziecinnych, drugą piękna Paryżanka, chciwa gwałtownych wrażeń, nie zaspokojona cichem szczęściem przy domowem ognisku. Autor nie dość surowo chłoszcze nieprawe jéj uczucia, zbyt hojnie opłata bezrząd kwiatami poezyi. Nie uniewinnia on obłę-

du; wślad za winą, pokazuje gorzki wyrzut, niemniéj przecież tłomaczyć się zdaje szał miłości, jego siłę niczem niezwalczoną. Oto w kilku słowach treść dramaciku.

Poeta umarł; oczy jego przysypał ziemią stary sługa bretoński, który przed laty dziesięciu przybył z nim do Paryża. Do pracowni zmarłego literata, strojnéj w zwiędłe kwiaty i w dzieła sztuki bezładnie rozrzucone, wchodzi Berta w żałobnéj odzieży. Tylko co przybyła z Bretanii; to owa krewna zaręczona niegdyś z poetą. Opuszczona cierpiała w milczeniu; nadzieja zbiegła z jéj serca, ale dziesięcioletnie łzy nie zgasiły dawnych jéj uczuć. Nagle odebrała list; w tym liście jedno tylko słowo „Przebacz!“ I Berta przebaczyła, i oto widzimy ją w Paryżu, w pustéj pracowni. Ze łzami przygląda się każdéj drobnostce, szuka wszędzie śladów ukochanego:

Tu on umarł, mój Boże! tu za owym stołem
On siadał zadumany z pochylonem czołem.
Tu, zabłysła mu chwały aureola złota!
Oto milczące świadki tęsknego żywota,
Te księgi: z których czerpał myśl wzniosłą i zdrową,
Pióro którem wylewał z duszy twórcze słowo,
Zwierciadło, co gasnące odbijało lice,
Wam znane tego serca smutne tajemnice;
Mówcież o nim! wam znany był ten wpływ złowrogi
Co sprawił, że mu zbrzydły święte ojców progi;
I ściany tego domu, gdzie w długiej tęsknocie,
Na daremnem czekaniu zbiegły dni sierocie,
Zkąd okiem poglądając w przestrzenie bez końca
Goniłam łzawem okiem wschód i zachód słońca,
I tę wązką drożynę gdzie w kurzawy pyle
Zgasły mi jego ślady już temu lat tyle!

Tu, daje się słyszéć lekki szmer. Berta przerażona kryje się za firankę. Otwierają się bóczne drzwi, Wchodzi Renata przysłonięta czarnym woalem; drżąca zbliża się do stolika, otwiera skrzynkę z konchy perłowéj, szuka zachowanych w niéj listów i portretu swego. Biada! gdyby te miały wpaść w cudze ręce!

— „Stój! zawoła Berta, ukazując się nagle. Zgaduję kto jesteś, po co tu przychodzisz. Nie odbierzesz tych listów, chyba z rąk męża twego. Wydarłaś mi szczęście; oto godzina odwetu!

Renata milczy, stoi jak skamieniała.

— „Słuszny twój gniew, zawoła wreszcie ze łkaniem; błagam cię tylko, nie obwiniaj mnie o kaprys chwilowy: kochałam go!... I wylicza wszystkie przebolałe męki, wszystkie walki i niebezpieczeństwa na jakie narażała ją przestępna miłość.

— Posłuchaj tylko, rzecze, jak mnie doszła wieść o jego śmierci:

Wieczorem jasny ogień płonął na kominie,
Przybiegł boso mój synek: złożyłam dziecinie
Rączęta do modlitwy; mąż mój dziennik trzyma
Kolumny obojętnie przebiega oczyma,
Mnie zimne zbiegły dreszcze, milczymy oboje:
Patrzę w złowrogie pismo... zapytać się boje...
Wtem zegar na kominie dziesiątą uderzy:
Drżąca z trwogi zagadnę: nie maż wieści świeżéj
O tym chorym poecie? Mąż spojrzy na nowo,
A ja, z sercem bijącym z rozpaloną głową
Czekam jak na torturach... pierś ledwie oddycha...
On położył gazetę i wybąknął z cicha:
„Twój poeta nie żyje, skonał zeszłéj nocy!“

Słowa te nie poruszają Berty; ale serce jéj przemówiło nareszcie, kiedy Renata uniesiona rozpaczą wyznaje iż poeta nie przepomniał nigdy dawnych swych uczuć. Raz w obec niéj odebrał list z Bretanii; w liście tym przyjaciel wspomniał Bertę. Oczy jego zabiegły łzami. Spostrzegła to Renata: postanawia bądź co bądź usunąć się z drogi poecie, nie zagradzać mu drogi do szczęścia. Niestety! było już za późno!

Rozbrojona Berta przebacza z głębi duszy.

— „Biedna! kochałaś go, rzecze, odbierz więc listy twoje, módlmy się obie za tę duszę tak skołataną, któréj za ciasno było w więzach życia. On był poetą! mamyż go mierzyć na modły innych ludzi?

Poeta, siostro moja, wygnaniec, syn szału,
Nasyciż duszę głodną wiecznie ideału?
Męczennik to zaklęty! wyzwoliż on ducha
Od kolebki do grobu z miłości łańcucha?
Po marzeń nieskończonych wiecznie buja świecie,
A gdzie kolwiek dosięgnie, w piersi czy w kobiecie
Sen rozkoszy za którym tęskną myślą goni,
Mdleje sen, niby motyl w pacholęcia dłoni!
I poeta umiera, a my drżące lutnie
Szaloną ręką mistrza stargane okrutnie
Ronim łzy, gdy po drżących naszych strunach jeszcze
Przebiega harmonijnie jego tchnienie wieszcze!

Obie kobiety podają sobie ręce... jutro spotkają się u grobu, poczem Bretonka wróci do wioski swojéj. Renata szukać będzie ukojenia przy domowem ognisku.

(d. c. n.)

Ideały, widma, czary.

Czy ty w niebios górnéj sferze,
Gdzie swą słońce jasność bierze,
Gdzie po długim mlecznym szlaku,
Gwiazd nasiano jakby maku;
Czy w przybytku Bożej chwały
Jak Serafin żyjesz biały;
Czy pod niebem a nad polem,
Skrzydłem orlem, lub sokolem,
Gonisz z wiatrem niewidziany,
A tak piękny i kochany?
Wołam ciebie! pragnę ciebie!
Czy na ziemi, czy ty w niebie!

Ty mi w jasnéj świecisz zorzy,
Taki młody! taki hoży!
O północku mię zachwyca
Twoja postać wśród księżyca;
Słyszę ciebie w wiatru szumie,
I w ludowéj tęsknéj dumie,
I w słowiczym wiosny hymnie,
Boś jest we mnie, ze mną, przy mnie.
Moje młode sny dziewicze
Roją dla mnie twe oblicze.
Wołam ciebie! pragnę ciebie!
Czy na ziemi, czy ty w niebie!

Tak mówiło dziewczę młode,
Bo serduszka już swobodę,
Wśród uniesień i zapału
Skradło widmo ideału.
Któż to będzie tem pieszczony,
Tak przeczuty, wymarzony,
Czyli z ziemi, czyto z nieba?
Lecz go kochać będzie trzeba;
Bo szesnastéj wiosny życia
Plon obfity w same śnicia,
W ideały, widma, czary;
Och! jak szkoda żem za stary.

Autor pamiątek z Litwy.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Maryan niecierpliwie ruszył się na krześle.

— Przedewszystkiem chciałbym z tobą o interesach pomówić, zawołał z pewnym niepokojem.

— O interesach? Jakie interesa, odfuknął pan Krzysztof, pieniądze dałem ci i na tem koniec. Na co nam teraz interesów. Będziemy dosyć czasu mieli w kraju na interesa. Tutaj chcę wszystkie kłopoty wasze zostawić za sobą, chcę oddychać i żyć tem powietrzem, jakiem wy tu tak długo oddychaliście... chcę przecież przekonać raz panią Elizę, która powiedziała mi: że ja bez gorzelni świata nie pojmuję...

— Wracam jeszcze raz do tego, kochany Krzysztofie, że nasze interesa jakoś uregulować trzeba.

— Co uregulować. Do czego uregulować.

— Przecież tak pozostać nie może. Dałeś mi dowody wielkiéj przyjaźni pomagając mi w potrzebie...

— Ej! co tam o tem wspominać. Mnie to przecież nic nie kosztowało. Papierami nie spekuluję, a czy mi leżą pieniądze w pugilaresie czy są u ciebie to wszystko jedno.

— Ale dla mnie kochany bracie nie jest wszystko jedno.

Pan Krzysztof z uwagą spojrzał na Maryana. Uśmiechnął się i zapytał żartobliwie:

— Czy wziąłeś co anticipando?

Maryan zmarszczył brwi.

— Zrobiłem po prostu interes z kupcem.

— Interes z kupcem? z zadziwieniem powtórzył pan Krzysztof, pewnie na wielką lichwę.

Maryan zagryzł usta.

— Wcale nie, odparł, interes bardzo korzystny.

Pan Krzysztof patrzał na niego z zadziwieniem. Maryan wziął tymczasem paczkę banknotów i zaczął rachować.

— Byłeś tak dobry, rzekł po chwili, że teraz dałeś mi całą summę, którą po pewnych formalnościach wypłaci Towarzystwo ogniowe, a którą masz wtedy sobie odebrać. Za tę przysługę jestem ci bardzo wdzięczny. Połowa jednak tych pieniędzy, należy się tobie boś gotówkę włożył do spółki. Prócz tego pożyczyłeś mi...

Maryan wyliczył tutaj różne pozycye.

— Co razem uczyni taką summę.

Tu podsunął panu Krzysztofowi spory stos banknotów.

Pan Krzysztof nie mógł jeszcze przyjaciela zrozumieć. W jego zachowaniu się było coś zagadkowego. Z pewną gorączką liczył pieniądze i z pewnym dziwnym giestem przysunął do niego.

Badawczo spojrzał pan Krzysztof na niego.

— Cóż to znaczy? zapytał z jakąś niewytłomaczoną obawą.

— Nic nie znaczy, z uśmiechem odparł Maryan, oddaję mój dług, który u ciebie w pieniądzach zaciągnąłem. Moralny zaś dług zostanie na zawsze w mojem sercu.

I wyciągnął rękę do przyjaciela.

Pan Krzysztof patrzał smutno na niego.

— Nic nie znaczy? zapytał boleśnie, a usta zadrżały mu jakby miał febrę, powiadasz nic nie znaczy?

I z rozrzewnieniem spojrzał w oczy Maryana

Maryan spuścił oczy w ziemię.

— Cóżby miało znaczyć? odparł z rumieńcem na twarzy.

Nastąpiła pauza. Pan Krzysztof patrzał ciągle na Maryana. Na jego poczciwéj twarzy zaczął się malować co raz większy smutek.

— Powiadasz że to nic nie znaczy... mówił z pewną boleścią, a ja ci powiadam, że to wiele dla mnie znaczy, bardzo wiele...

Maryan nie mógł spojrzyć w oczy przyjacielowi. Rumieniec żalu palił go na twarzy.

Łzy zabłysły w oczach pana Krzysztofa.

— Ja ci powiem co to znaczy, rzekł drżącym głosem, to znaczy skwitowanie mnie z wszystkiego. Nieprawdaż? Bądź szczery Mayanie.

Maryan wyciągnął rękę do przyjaciela.

— Powiadam ci, rzekł głosem wzruszonym że dłużnikiem twoim pozostanę na zawsze. Nigdy nie zapomnę twojéj zacnéj, szlachetnéj pomocy...

Pan Krzysztof patrzał z niedowierzaniem w oczy przyjaciela.

— Powiadasz zacnéj i szlachetnéj pomocy... czy wierzysz w te słowa swoje?

— Wierzę, najmocniéj wierzę.

— Czy wierzysz, że dając ci pieniądze nie mieszałem z tą sprawą żadnych... szlachetniejszych uczuć?

— Wierzę i przysięgnę że tak było.

— Dla czegoż więc śpieszysz się, aby mnie jak najprędzéj odprawić?

— Widzisz... nie mogę być dłużéj twoim dłużnikiem. Chciéj uszanować czułość mego sumienia.

Tu podał Maryan rękę zacnemu przyjacielowi i serdecznie go uściskał.

Pan Krzysztof patrzał ciągle na niego. Duże jak groch łzy puściły mu się po twarzy. Otarł je szybko kułakiem i zawołał:

— Rozumiem cię. Dziękuję ci za twoje serdeczne współczucie. Wiem że w takim razie byłoby ci bardzo boleśnie być moim dłużnikiem. Pamiętaj tylko o tem, że ja zawsze dla ciebie jestem tym samym... Pożegnaj panią Elizę i niech będzie... szczęśliwszą odemnie. I ty w szczęściu swojem nie zapominaj o mnie. Pozdrów wszystkich... bo ja z niemi żegnać się już nie będę. Powiedz że musiałem nagle odjechać...

I zacny pan Krzysztof jeszcze raz kułak do oczu przyłożył.

— Kochany Krzysztofie, wołał Maryan wstrzymując się od łez, dla czegoż chcesz tak prędko odjechać?

— Muszę odjechać, szlochał biedny człowiek, bo bym tu nie wytrzymał ani chwili. Tu mi teraz tak smutno, tak bardzo smutno...

— Drogi Krzysztofie...

— Szkoda że mnie ojciec trochę inaczéj nie wychował... Bądź zdrów przyjacielu.

Pan Krzysztof rzucił się na szyję Maryanowi, obaj śród łez ucałowali się, uściskali, poczem szybko wypadł pan Krzysztof na korytarz.

XXXI.

Nazajutrz, po ostatniéj na Lido wycieczce, czuła się staruszka bardzo osłabiona. Położyła się do łóżka przepowiadając, że już więcéj z niego nie wstanie.

Flaminii było bardzo smutno. Jasne zaranie jéj szczęścia nie mogło się obejść bez téj chmurki smutku, dając jéj oraz naukę, że w najpogodniejszem nawet szczęściu trzeba się przygotować na cierń boleści, na jaki stąpić możemy... a ta boleść właśnie zmieszana z rozkosznem marzeniem, podniosła cały nastrój jéj duszy do wyższego, szlachetniejszego uczucia...

Przynajmniéj zesłało jéj teraz niebo towarzyszkę boleści. Przyjechała krewna staruszki.

Gdy się o tem staruszka dowiedziała, kazała ją zawezwać do siebie a wysławszy Flaminię do innego zatrudnienia, rzekła zaraz po przywitaniu do siostry nieboszczyka swego męża.

— Kazałam cię przywołać, bo jak widzę przyszła i na mnie już kreska. Wszystko głupstwo, człowiek raz musi umierać. Chodzi tylko o to, aby od tych którzy tutaj jeszcze zostają, odejść w porządku. Cóż tam twoje dzieci?

Krewna otarła oczy i odpowiedziała:

— Moje dzieci zawsze ciebie kochają, tylko ty temu nie chciałaś nigdy wierzyć.

— A może nawet i ten urwis mnie kochał, który z wielkiéj miłości chciał mnie udusić?

Krewna chciała się uśmiechnąć, ale to się jéj nie udało.

— Tak się tobie tylko zdawało, odpowiedziała, Myślałaś zawsze, że wszyscy na twój majątek dybią.

— Alboż tak nie było? Alboż ta czułość twoich córek nie dążyła tylko do tego, aby im nowe kostiumy posprawiać, w których po Saskim ogrodzie przodować chciały?

— Wszystko w czarnem świetle widziałaś.

— Już ja ci powiadam, że nie ma większego nieszczęścia na świecie jak być bogatą, bezdzietną i starą i widzieć w koło siebie nadzwyczaj czułych i kochających krewnych.

— Czegoś po mnie telegrafowała?

— Dla tego, bo już was wszystkich długo nie będę oglądać. A raz przecież trzeba z wami skończyć? Jakże myślicie o spadkobierstwie?

— Zależy to wszystko od twojéj dobréj woli.

— Otóż teraz bardzo dobrze powiedziałaś, nie tak jak ten urwisz który mnie dusił i groził mi procesem o majątek po stryju.

— Już go nie ma w kraju, wyjechał do Ameryki.

— To dobrze, prędzéj przezwyciężę wstręt do moich przyszłych spadkobierców.. Ale słuchaj co ci powiem.

— Słucham cię.

— Flaminia z taką troskliwością chodziła koło mnie, ta biedna sierota, któréj rodzice żywcem w płomieniach się spalili a ona w tych samych płomieniach się urodziła, tyle sobie u mnie zaskarbiła współczucia, że była chwila w któréj postanowiłam jéj zapisać cały mój majątek, osobliwie gdy mi się ten urwisz twój przyśnił i we śnie za gardło mnie dusił...

Krewna spuściła oczy aby niemiłego wrażenia nie wyczytała tam staruszka.

— I ta myśl moja, mówiła daléj staruszka, była początkiem jéj dzisiejszego szczęścia. Czy wiesz co się stało?

— Nie wiem, z cicha wyszeptała krewna.

— Bawią tutaj państwo Jastrzębcowie, ludzie jak widać i jak sami o tem mówią, bardzo bogaci. Otóż pewnego dnia przyszłam do nich z tą myślą moją, aby zapis na korzyść Flaminii sporządzić, przy czém wspomniałam im także o powodach które mnie do tego skłaniają, nie zamilczając nawet o twoim urwiszu a dzisiaj obywatelu Stanów Zjednoczonych w Ameryce! Zaszła jednak jakaś przeszkoda, że tego wtedy nie uskuteczniłam, ale widziałam jasno że to zwróciło oczy tychpaństwa Jastrzębców na Flaminią, z którą natychmiast bardzo się zaprzyjaźniła pani Eliza, młoda wdowa a ich córka. Zauważyłam także, że pan Salezy i pani Apolonia nadzwyczaj serdecznie ze mną bratać się zaczęli, choć zrazu wiele mówili o herbach i powinowactwie swojém z mitrami. Nawiasem wspominała mi pani Eliza coś o bracie swoim i tak powoli nawiązywały się ich plany tyczące się Flaminii. Stało się potém, że ten brat pani Elizy a syn państwa Salezów, rzeczywiście przyjechał. Człowiek jak widać bardzo zacny i dobry. Oboje z Flaminią podobali się sobie i oto przed kilku dniami nastąpiły oświadczyny. Flaminia jest więc narzeczoną.

Krewna pomyślała chwilę.

— Czy mówili co o spodziewanym posagu Flaminii? zapytała.

— Ani słowem.

— Wypada więc rzecz jasno postawić.

— Uczynię to dzisiaj. Namyśliłam się że najbliższych krewnych mego męża, którego był majątek, krzywdzić nie mogę. Z wyjątkiem owego amerykańskiego obywatela, dwie wsie i kamienicę zapiszę twoim dzieciom.

Biednéj matce ośmiorga dzieci uderzyła krew do głowy.

— Niech ci Bóg zapłaci za dobre serce twoje, rzekła, ale jakże zrobisz z Flaminią?

— Flaminia dzięki Bogu teraz majątku nie potrzebuje. Robi ona świetną partyę. Będzie miała i bez moich trzech groszy pałac, służbę i ekwipaże. Biedna sierota zasłużyła sobie na te szczęście. Ja tylko dam jéj wyprawę.

— Proszę cię... czy to będzie dobrze.

— Dla czegóżby źle było. Są to ludzie bardzo bogaci. Pani Apolonia nie mogła mi się naopowiadać o zbytkowem życiu jakie na wsi prowadzą; o rozległości dóbr swoich, które są w stanie kwitnącym; o swoich rządzcach i komisarzach, o fabrykach, trykach i parowych maszynach, jakiemi całe gospodarstwo się prowadzi. Mówiła, że na przyszłą zimę pojadą do Hiszpanii, a jeżeli tam im się sprzykrzy ta udadzą się na wyspy Kanaryjskie, gdzie to kanarki dziko latają a ananasy pod płotem jak badiaki u nas rosną! Pan Salezy jeszcze lepsze opowiadał mi rzeczy, gdyśmy byli sami. Radził mi się czy nowe dobra ma zakupić w Królestwie bo nie wygodnie mu trzymać kapitały w papierach. A pani Eliza i pięciu słów do mnie nie wymówiła, aby między nimi nie było choć jednego słowa o wielkiéj skali życia, jaką prowadzą w kraju stosownie do swego majątku. Ma nawet teraz wyjść za mąż, za pewnego włoskiego hrabiego, z starożytnéj weneckiéj arystokracyi, którego antenata, jeszcze w średnich wiekach, miała Rzeczpospolita powiesić pomiędzy kolumną z lwem św. Marka z jednéj, a z świętym Jerzym z drugiéj strony. Przy takiem bogactwie domu Flaminia nie potrzebuje posagu. Bardzo się z tego cieszę że taki świetny los robi biedna sierota.

Krewna zamyśliła się nad temi słowami.

— Ale, rzekła po chwili, oni widocznie spodziewają się majątku?

— Od przybytku głowa nie boli, odpowiedziała z uśmiechem staruszka, wierzę że dwie wioski i kamienica przydałyby się do ich milionów, ale sądzę że bez tego obejść się mogą.

— Czyby nie dobrze było powiedzieć im to?

— Po co, jeżeli mnie się nie pytają?

— Gdy się dowiedzą, mogą się cofnąć...

— Pan Maryan jest bardzo zacnym i poczciwym człowiekiem, kocha Flaminię szczerze... on się nie cofnie.

— Czy jednak takie rozczarowanie nie wywrze potem niedobrego wpływu na ich pożycie małżeńskie?

Rozśmiała się staruszka.

— Nie wierz temu, ozwała się. Już to każdy prawie konkurent szuka pieniędzy, a na dziesięciu dziewięciu oszukuje się. I dobrze im tak. Ale jakoś to potem przeboli się. Twój brat a mój

mąż św. p. Kalikst, szukał także majątku. Jeździł po różnych zborach majętnych panien, był w Ostendzie, w Krynicy i w Szczawnicy, dowiadywał się... i cóż się stało? Oto gdy do Szczawnicy z moją daleką krewną hr. *** przyjechałam, a niektóre przyjaciółki moje, dla zbytku, zrobiły ze mnie milionową dziedziczkę... św. p. Kalikst przyszedł natychmiast z bukietem konwalii do mnie i od tego czasu codziennie miałam od niego te ulubione przezemnie kwiaty... Jakoś tak mądrze wszystko się składało, że o braku tych milionów nie dowiedział się aż po ślubie. Prawda, że osowiał trochę i długo nie mogłam go rozruszać. Był nawet niejakiś czas bardzo przykry dla mnie, a czasami nawet mi z ironią docinał. Ale ja sobie tam z tego nic nie robiłam, jakbym tego nie słyszała. Widząc to zaprzestał wszystkich szykan, zakasał rękawy i zaczął sam dorabiać się majątku. Dopomagałam mu w tem, i cóż?... gdy św. sakramenta na łożu śmiertelnem przyjmował, to uścisnął mnie za rękę i powiedział, że mu żal odemnie odchodzić. Taki zazwyczaj bywa koniec owych rozczarowań poślubnych, a rozczarowania te przechodzą tem łatwiej, tam, gdzie z jednéj strony są miliony, o jakich mi zawsze mówili państwo Jastrzębcowie i pani Eliza. Po cóż więc wodę lać do studni?

Krewna patrzała w ziemię.

— Zawsze byłoby lepiéj, aby o tem wcześniéj wiedzieli, rzekła, chociażby ze względu na samą Flaminię

— I to stać się może, odpowiedziała staruszka, i tak potrzeba będzie świadków do testamentu.

XXXII.

U państwa Salezów była także mieszana atmosfera, w tych dniach. Tak samo jak u Flaminii najwyższe uczucie szczęścia mieszało się z wielką boleścią, mieszał się u państwa Salezów jakiś dobry humor, który wszystkich prawie ożywiał z pewną niekłamaną żałością, jaką okazywano gdy mowa była o staruszce.

Pan Salezy siedząc w fotelu pogwizdywał sobie jakąś wesołą melodyjkę z młodszych lat swoich, a gdy pani Apolonia od staruszki wróciła, pytał prędko, z wyrazem niekłamanego smutku na twarzy:

— Cóż tam słychać? Czy nie lepiéj?

Pani Apolonia odpowiadała z westchnieniem, a pan Salezy nie gwizdał wtedy wcale. Gdy się jednak skończyła relacya, wrócił pan Salezy do swojéj zabawki, którą teraz nudne chwile swoje rozpędzał. Eliza nie taiła swego dobrego humoru. Pieniądze miała już w torebce i przemyśliwała tylko jaką tualetę sprawić sobie do ślubu. A gdy wspomniano o staruszce, odpowiadała z wielką rezygnacyą:

— Na to trzeba być przygotowanym. Kto ma lat ośmdziesiąt, ten każdéj chwili na drugi świat wymknąć się może. Zresztą starość nie radość. Człowiek stary sam sobie ciężarem i drugim. Często jest to dobrodziejstwem dla niego, że umiera. Czegoż może jeszcze pragnąć Palczewska? Najwięcéj tego, aby w porządku umarła, to jest: aby interesa zostawiła uporządkowane i wyspowiadała się z przytomnością umysłu, i św. sakramenta na drogę sobie wzięła. O czemże więcéj mówić?

— Tak krótko chcesz się sprawiać ze starymi ludźmi? rzekł na to z uśmiechem pan Salezy, poczem znowu zaczął sobie jak pierwéj pogwizdywać.

— Kto wie, może Eliza ma i słuszność, rzekła z pewnym nieokreślonym uśmiechem pani Apolonia, starzy ludzie są do niczego, zawadzają młodym.

Spostrzegła Eliza niestosowność słów swoich.

— Myślałam tylko o staréj Palczewskiéj, ozwała się, która już zdecydowała się umrzéć.

— O téj decyzyi nic jeszcze nie wiem, rzekł pan Salezy robiąc małą pauzę w gwizdaniu, tacy zdecydowani na śmierć ludzie sporządzają zazwyczaj porządny testament. Palczewska jakoś jeszcze o tem nie myśli.

— To prawda, dorzuciła pani Apolonia, jak widać żal jéj jeszcze umierać.

— Zdaje mi się że każdemu żal umierać, ale cóż to pomoże. Trzeba zawsze jakiś porządek zrobić. Czy nie wspomniałaś jéj o tem?

— Trudno było. Ona zawsze mówi o czem innem.

— Jeżeli się nie mylę, ozwała się Eliza, to tam już ma się koło testamentu. Słyszałam, że dzisiaj mieli zawezwać prawnika, który broniąc swoich klientów gardło sobie wygadał a teraz morskiem powietrzem się leczy.

— Z kąd masz dzisiaj taki dobry humor? zapytał pan Salezy.

Eliza wskazała na safianową z podwójnym zamkiem torebkę.

— Pieniążki. Pieniążki kochany ojcze, zawołała z rozkosznym uśmiechem.

— Prawda, odparł ojciec składając usta do gwizdania, pieniądze to *nervus rerum*...

— Zdaje się, że Palczewska oprócz nieruchomego majątku ma także znaczne kapitały... i może dla tego zawezwała siostrę nieboszczyka męża, aby ciepłą ręką dać jéj coś odczepnego.

— Naturalnie, już coś im dać trzeba, aby przynajmniéj nie przeklinali. Ja sądzę, gdyby nawet i kamienica poszła na ich rachunek...

— Bynajmniéj nie widzę tego potrzeby, przerwała Eliza, czy za to, że ją ten siostrzeniec chciał udusić?... Sądzę że dosyć będzie, gdy każda córka dostanie coś na skromną wyprawę. Przecież i to będzie dobra jéj wola. Nieboszczyk zrobił ją właścicielką wszystkiego.

— Widać że była dobra żona...

— I umiała dobrze koło chorego męża chodzić...

— Czy Maryan był dzisiaj u staruszki?

— Zdaje mi się że był, ale nie widział się z nią tylko z Flaminią.

— Źle że przy Flaminii staruszkę zaniedbuje.

— Mówiłam mu to, rozgniewał się na mnie. Już to nie praktyczny człowiek z niego.

— Nie powiem, że nie praktyczny, ale widzę w tem brak dobrego rachowania się. Przecież powinniśmy zwykłym znajomym naszym okazać współczucie w takim razie, a cóż dopiero osobie która ma zostać dobrodziejką.

— Takby się należało, szczęście że Palczewska tak jest w nim zakochana, że myśli, iż on po to tylko do Flaminii chodzi, aby się dowiedzieć o téj, która chora w łóżku leży. Szczęśliwy człowiek. Samo szczęście ciśnie się do niego...

— Nie raz to zauważyłem, że Palczewska bardzo go lubi.

— Przy mnie prawi Flaminii morały, że Bogu powinna dziękować, że takie szczęście ją spotyka, że Maryan jest człowiekiem wyjątkowym, że inny mężczyzna może nawet nie popatrzyłby się na biedną sierotę....

— Już to, że go bardzo lubi, nie podlega żadnéj wątpliwości.

— Słów nie ma na jego pochwały. Powiedziała wczoraj do mnie, gdy Maryan świeży bukiet przyniósł Flaminii: Powiedz mi Elizo, gdzie to się taki człowiek urodził, jak ten twój zacny braciszek. Toż to ze świecą szukać takich mężczyzn dzisiaj. Jak on kocha Flaminię. Biedna sierota warta rzeczywiście takiego kochania, ale bo dzisiaj młodzi mężczyźni inaczéj na miłość się zapatrują. Robią to z wszelką wygodą swoją, a co się wygodzie sprzeciwia gotowi temu całą swą miłość poświęcić...

— A do mnie mówiła, że jeżeli już jéj choroba i wyjazd do Wenecyi były koniecznością nieuniknioną, to przynajmniéj z tego się cieszy, że tym sposobem pomogła do zbliżenia się dwojga ludzi, którzy w jéj oczach przedstawiają skończony obraz szczęścia. Jest to dla niéj zaś najmilszem uczuciem, jeżeli ten obraz może uważać za swoje dzieło...

— Zacna, poczciwa staruszka.

— Z wielkiem sercem kobieta.

— Oby jéj ziemia była lekką.

— Co mówisz. Przecież jeszcze nie umarła.

— Prawda nawet nie dobrze byłoby, gdyby tak prędko... bez wszystkiego umarła.

Na czole pana Salezego pojawiła się chmurka.

— Toby nie było dobrze, odrzekł, wcale by dobrze nie było. Sądzę, że tak się nie stanie.

W téj chwili wszedł służący do pokoju z kartką. Eliza pochwyciła prędko kartkę. Była adresowana do pana Salezego.

— Czy mogę przeczytać ojcze? zapytała z niepokojem.

— Przeczytaj nam, odparł pan Salezy.

Eliza czytała:

— „Moja bratowa robi w téj chwili testament. objawiła życzenie, abyś pan dobrodziéj był obecny temu aktowi, który z powodu mających się zawrzéć związków familijnych, nie powinien być obcy szanownemu ojcu zacnego pana Maryana. Oczekujemy niecierpliwie.

Kartka była od siostry nieboszczyka męża staruszki, i była pisana na wyraźne tejże życzenie.

Sprawiła ona wielkie wrażenie.

— W sam czas ten testament do skutku przychodzi, ozwała się Eliza.

— Chcę abym przyszedł, dodał pan Salezy, to przecież nie bez powodu.

— Naturalnie. Po cóżby na próżno kogo wołali.

— Ani wątpić.

— Ale trzeba się śpieszyć... podajcie mi futerko.

— Może odprowadzić ojca? Może byłabym potrzebna?

— Nie wypada jakoś. Dosyć jak mnie Francesko zaprowadzi... A gdzie jest Maryan?

Ponieważ Maryana nie było, więc sam Francesco wziął pana Salezego pod ramię i powoli po marmurowych schodach sprowadził do gondoli.

(*d. c. n.*)

PIENIĄDZE.

KOMEDYA W PIĘCIU AKTACH

przez **Bulwera**

z angielskiego przełożona przez M. G.

(Dalszy ciąg).

Scena IV.

Evelyn, Klara.

Evelyn. Klaro!

Klara. Kuzynie!

Evelyn. I ty także jesteś zależną.

Klara. Ale tylko od lady Franklin, któréj staraniem jest żeby mi dać o tem zapomniéć.

Evelyn. Prawda, ale czy świat o tem zapomni? Ta ubliżająca poufałość, ten błazeński zachwyt więcéj mieszczą w sobie goryczy od zuchwałéj pogardy. Patrz tylko, Klaro, piękność i cnota, ubrane w jedwab i kaszmiry, osłonione od powiewu wiatru, od nędz tego żywota, otoczone złotem kołem, wszyscy im jak boginiom oddają pokłony. Odbierz te dodatki, zobacz piękność i cnotę w biedzie, w zależności, w osamotnieniu, przechodzące świat bez opieki, bez podpory; oh! wtedy uwielbienie zmienia charakter, i ten sam tłum zbiera się na około z głupców, rozpustników, letkiewiczów, ale nie po to żeby uwielbiać bożyszcze, lecz żeby zdeptać ofiarę!

Klara. Kuzynie, jesteś okrutny.

Evelyn. Przebacz mi! To tak zawsze jeśli serce człowieka lepsze jest od jego doli; nawet uczucia jego zaprawione są goryczą. Przykrości jakie mnie spotykają, przestały już mnie boléć. Mogę szydzić z tego nad czem dawniéj cierpiałem. Ale ty, ty, tak delikatna, wypieszczona, najlżejsze ubliżenie, poufałe spojrzenie, ton lekceważący, dają mi czuć w całéj sile gorycz mego położenia. Duma ubogiego może uzbroić niedostępnie jego własne serce, ale nie daje mu możności osłonienia kogokolwiek!

Klara. Ależ i ja także mam swoją własną dumę, ja także mogę się uśmiechać na lekceważenie i zbytnią poufałość.

Evelyn. Uśmiechać się, a ten... wziął cię za rękę! Oh! Klaro, nie wiesz jakie męczarnie przeszedłem przed chwilą; kiedy ktokolwiek zbliża się do ciebie... jeden z tych młodych, pięknych, bogatych paniczów uwielbianych przez świat, wtedy trwożę się o twoją piękność, szaleję o każdy uśmiech którym darzysz kogo. Nie, nie mów nic, moje serce nie chce dłużéj milczéć, musisz wysłuchać reszty. Dla ciebie znosiłem ciężką niewolę w tym domu, dobrodziejstwa głupca, szyderstwa rzucane płatnemu słudze! Jadłem chléb okupywany ciężkim trudem i pracą, która mogła mnie do innego celu doprowadzić; tak, żeby ciebie widziéć, słyszéć, oddychać tem samem co ty powietrzem, być zawsze blisko: żeby gdy inni ci ubliżą, odemnie przynajmniéj doznawałaś tem głębszego uszanowania: dla tego, dla tego tylko znosiłem, cierpiałem to wszystko. O! Klaro! jesteśmy oboje sieroty, bez przyjaciół: i jesteś wszystkiem w świecie dla mnie, o nie odwracaj się! cała dusza moja wyrywa się ku tobie w tych słowach... kocham cię!

Klara. Nie, panie Evelyn, Alfredzie. Nie, nie mów tego, nie myśl o tem, toby było szaleństwo.

Evelyn. Szaleństwo! Nie, posłuchaj mnie jeszcze. Jestem biedny, bez grosza, bez pozycyi. Prawda. Ale serce mam hartowne. Mam naukę, wytrwałość, zdrowie i siły, a miłość moja dla ciebie dodała mi nakoniec energii, natchnęła odwagą. Dotąd gardziłem wszystkiem prócz twoją miłością, i energii mojéj pozwoliłem drzemać. Lecz gdybym dla ciebie miał pracować, torować ci drogę przez życie, osłaniać cię moją opieką, o! wtedy ja, ja biedny Alfred Evelyn, przyrzekam zdobyć dla ciebie nawet sławę i majątek. Nie usuwaj ręki, twojéj ręki.... czyż nigdy ona do mnie należyć nie będzie?

Klara. Ah! Alfredzie! nigdy, nigdy.

Evelin. Nigdy?

Klara. Zapomnij o tem; nie możemy należéć do siebie, a myśléć o miłości było gorzką pomyłką jedynie.

Evelyn (z goryczą). Dla tego że jestem biedny!

Klara. I ja również! a małżeństwo w tych warunkach to całe życie braków, nędzy, dni pełnych niepokoju o jutro: widziałam już taki los, i nie chcę go za nic w świecie.

Evelyn. Dosyć, będę ci posłusznym. Łudziłem się myśląc że jestem wzajem kochany. Ha! ja którego młodość na pół już zwiędła w pracy i troskach, ja z duszą przepełnioną goryczą, ja którego nikt kochać nie może, ja którym nie powinien był kochać nikogo!

Klara (na str.). Ach! gdybym to jedna miała cierpiéć, umierać z głodu! Och! co ja mu powiem? Alfredzie, kuzynie.

Evelin. Pani...

Klara. Alfredzie, ja... ja...

Evelyn. Odrzucasz mnie!

Klara. Tak, wszystko już skończone.

(wychodzi).

Evelyn. Chciałbym zebrać myśli. Wczoraj jéj ręka drżała w mojéj dłoni. Różę którą jéj dałem, tak przycisnęła do ust jakbym nie był świadkiem jéj zachwytu. Ale to był tylko podstęp, fałsz, bo byłem równie biedny wczoraj jak dziś. Jestem zabawką dla nich wszystkich. Odwagi, słabe to serce które pogarda kokietki łamie. A teraz kiedy nie dbam już o nikogo, świat dla mnie będzie tylko partyą szachów do któréj siądę jak najśpieszniéj i grać będę z fortuną.

(Wchodzi Lord Glossmore, wprowadzony przez służącego).

Służący. Oznajmię Sir Johnowi pańskie przybycie, milordzie.

(Evelyn bierze do ręki gazetę).

Glossmore. Sekretarz, hm! Ładny czas mamy panie; nie ma wiadomości ze wschodu?

Evelyn. Są, wszyscy rozumni ludzie tam pojechali.

Glossmore. Ha! ha! nie wszyscy, bo oto idzie pan Stout, wielki Ekonomista.

Scena V.

Stout, Glossmore, Evelyn.

Stout. Dzień dobry Glossmore.

Glossmore (do siebie). Glossmore! parweniusz!

Stout. Obawiałem się że przyjdę za późno. Zatrzymano mnie na posiedzeniu rady parafialnéj. Zadziwiająca rzecz jak nieoświeceni są nasi ubodzy. Zajęło mi półtory godziny czasu wkładanie w głowę głupiéj staréj wdowy z dziewięciorgiem dzieci, że dawać jéj trzy szylingi tygodniowo jest wykroczeniem przeciwko zasadom publicznéj moralności.

Evelyn. Doskonale! znakomicie! zechciéj mi pan podać rękę.

Glossmore. Jakto! podzielasz pan te zasady panie Evelyn? Czy stare biedne kobiety na to są stworzone żeby umierały z głodu?

Evelyn. Umierać z głodu. Złudzenie. Milordzie zechcij zwrócić uwagę na to... że dawać pieniądze tym co umierają z głodu jest to samo co dawać zachętę nędzy.

Stout. Oto wyższy umysł tego człowieka!

Glossmore. Nieludzkie zasady! Wróćcie mi lepiéj dobre dawne czasy, kiedy to było obowiązkiem bogatego przychodzić w pomoc nędzarzowi.

Evelyn. Z drugiéj strony, pan znowu masz słuszność. Ja także znam biedną kobietę, chorą, umierającą, w ciężkiéj potrzebie, czy i *ona także* ma zginąć?

Glossmore. Zginąć! To okropne w chrześcijańskim kraju. Zginąć. Broń Boże.

Evelyn (wyciągając rękę). A więc, milordzie, dasz dla niéj wsparcie?

Glossmore. Hm, mój panie, parafia dać powinna.

Stout (z wielkiem uniesieniem). Nie, nie, nie powinna.

Glossmore. Nie, nie! A ja mówię tak, tak i tak, a jeśli parafia odmawia wsparcia biednemu, jedyna droga jaka pozostaje w takim razie dla człowieka stałego charakteru i przekonań, wyznającego takie jak ja zasady, stronnika urządzeń pozostawionych nam przez naszych ojców, jest *zmusić parafią* za pomocą biednych którym się od siebie nie daje ani grosza jałmużny.

Scena VI.

Sir John, Blount, Lady Franklin, Georgiana, Glossmore, Stout, Evelyn.

Sir John. Jak się macie panowie, jak się macie? Jakże smutna okoliczność nas zgromadza. Biedny nieboszczyk, jakich zalet człowiek.

Blount. Dla niego ochrzczono mnie Fryderykiem. Mój to najbliższy krewny.

Sir John. Georgiana jest jego rodzoną siostrzenicą, a więc i najbliższą krewną. Jaki zacny to był człowiek, choć trochę dziwak: najlepsze serce, ale chory na wątrobę. Posyłałem mu zawsze dwa razy do roku trzydzieści tuzinów Cheltenhamskiéj wody. Jakaż to pociecha dla mnie, w obecnéj chwili, wspominać te małe przysługi które mu oddawałem.

Stout. Ja zaś posyłałem mu regularnie sprawozdania z rozpraw w parlamencie, oprawne w cielęcą skurkę. Był on moim krewnym w drugim stopniu; nie oceniony człowiek, zwolennik teoryi Malthusa; nigdy się nie ożenił z obawy powiększenia ludności, i rozdrobnienia majątku pomiędzy dzieci. A teraz...

Evelyn. Zbiera obfity plon wdzięczności w sercu każdego z najdalszych nawet krewnych.

Lady Franklin. Ha, ha, ha!

Sir John. Pst, pst, przyzwoitość przedewszystkiem. Lady Franklin, przyzwoitość.

(Wchodzi służący).

Służący. Pan Graves, pan Sharp.

Sir John (przedstawiając). Pan Graves i pan Sharp, prawnik, który, przywiózł testament z Kalkuty.

Scena VII.

Graves, Sharp, Sir John i inni.

Sir John, Glossmore, Blount, Stout (razem). Ach! panie, ach! panie Graves.

(Georgiana trzyma chustkę przy oczach)

Sir John. Smutna chwila.

Graves. Wszystko na tym świecie jest smutne. Pociesz się, Miss Vesey. Prawda straciłaś pani wuja; ale ja... ja postradałem żonę... i jaką żonę. Ozdobę swojéj płci, bliską krewną nieboszczyka. Daruj mi Sir Johnie; na widok waszéj żałoby moje rany krwawią się na nowo.

(Służba podaje wino i ciasta).

Sir John. Proszę, raczcie się posilić, może kieliszek wina?

Graves. Dziękuję! Wyborne shery. Ach! moja biedna święta Maryo! Sherry było jéj ulubionem winem, wszystko co widzę przypomina mi Maryą. Ach! lady Franklin, znałaś ją pani. Nic w świecie już mnie pocieszyc nie może. (na str.) Cudownie piękna kobieta ta Lady Franklin.

Sir John. A teraz do roboty, Evelyn, możesz się oddalić.

Sharp (przeglądając papiery). Evelyn, czy nie jaki kuzyn Alfreda Evelyna?

Evelyn! On sam.

Sharp. Krewny zmarłego, w bardzo dalekim stopniu. Zechciéj pan usiąść; może być jakiś zapis,

choćby małej wagi; wszyscy krewni, choćby najdalsi, powinni być obecni.

Lady Franklin! Klara także jest spokrewnioną ze zmarłym, idę więc po nią.

(wychodzi).

Georgiana. Ach! panie Evelyn; mam nadzieję że i dla pana coś się tam znajdzie, kilkaset funtów a może nawet więcéj.

Sir John. Cicho! sza! uwaga.

(Podczas kiedy prawnik otwiera testament, wchodzą Lady Franklin i Klara).

Sharp. Testament jest bardzo krótki, ponieważ majątek był osobistą własnością zmarłego. Pan Mordaunt wszystko miał w porządku.

Sir John. Chciałbym żeby było więcéj jemu podobnych. (pomrukuje i kiwa głową, wszyscy mruczą i kiwają głowami.

Sharp (czyta). Ja, Fryderyk Jakób Mordaunt z Kalkuty, będąc w obecnéj chwili przy zdrowych zmysłach choć słaby na ciele, czynię niniéjszém dar z mego majątku: po pierwsze: mojemu krewnemu w drugim stopniu Benjaminowi Stout, zamieszkałemu w Londynie, na Pall Mall... (obecni objawiają żywe wzruszenie) summę równającą się wartości parlamentowych rozpraw, przesyłaniem których podobało mu się nudzić mnie przez czas jakiś, po odcięciu kosztów przesyłki które zapominał zawsze opłacać, summę 14 ft. 2 szylingi i 4 pensy.

(obecni oddychają wolniéj.)

Stout. Co! 14 funtów! Bodaj przepadł stary skąpiec.

Sir John. Przyzwoitość przedewszystkiem, przyzwoitość! Czytaj pan daléj.

Sharp (czyta) Po drugie. Sir Fryderykowi Blount, baronetowi, najbliższemu memu krewnemu płci męzkiéj.

(Obecni okazują wzruszenie).

Blount. Biedny starowina.

Georgiana opiera rękę na poręczy krzesła na którem siedzi Sir Fryderyk).

Sharp (czyta). Który jak słyszę jest najlepiéj ubierającym się młodzieńcem w Londynie, w nagrodę jedynéj zalety jaką posiadać się zdaje, summę 500 funtów na kupienie neseseru.

Obecni oddychają wolniéj; Gieorgiana spotyka wejrzenie ojca i usuwa rękę z kszeszła Sir Fryderyka).

Blount (śmiejąc się z pomieszaniem). Ha, ha, ha! bardzo mały zapis. Bardzo, bardzo mały.

Sir John. Cicho bądź, cóż daléj?

Sharp (czyta). Po trzecie: Karolowi lordowi Glossmore, który podaje się za mojego krewnego, mój zbiór motylów na szpilkach, i genealogię Mordauntów od panowania Króla Jana.

(Obecnie dają znaki zadowolenia).

Glossmore. Motyle! Genealogia. Zaprę się parweniusza.

Sir John (z gniewem). Na moje słowo, tego już nadto. Przyzwoitość przedewszystkiem. Czytaj pan daléj.

Sharp (czyta). Po czwarte: Sir Johnowi Vesey, baranetowi, kawalerowi orderów i t. d.

Sir John. Pst, teraz ciekawa chwila nadeszła.

Sharp Który zaślubił był moją siostrę i przysełał mi corocznie chiltonhamskie wody, które mi śmierć sprowadziły, przekazuję... puste po niéj butelki.

Sir John. Jakto, niewdzięczny, niegodziwy stary...

Wszyscy (razem). Przyzwoitość przedewszystkiem Sir John, przyzwoitość.

Sharp. Po piąte: Henrykowi Graves, z Albany.

(Obecni objawiają niepokój)

Graves. Ba! panowie zwykłe moje szczęście, pewnie nic, ani nawet pierścionka, gotówbym przysiądz.

Sharp. Summę 5000 funtów, w papierach po trzy od sta.

Lady Franklin. Winszuję panu.

Graves. Winszować: hm. hm, nie ma bardzo czego. Trzy od sta i papiery które pewnie spadną! Gdyby to była ziemia naprzykład, choćby jeden akr. Takie to moje szczęście.

Sharp. Po szuste: Mojéj siostrzenicy Georgianie Vesey.

(Ogólne zaniepokojenie).

Sir John. A! nakoniec.

Sharp. Summę 10,000 funtów w papierach Indyjskiéj kompanii, co z oszczędnościami jéj ojca utworzy majątek wystarczający dla jednéj kobiety.

Sir John. Cóż u dyabła zrobił stary głupiec z całym swym majątkiem?

(Obecni razem wszyscy wołają).

Prawdziwie, Sir John, tego już nadto. Przyzwoitość przedewszystkiem! Pst!

Sharp. Po zaspokojeniu niniejszych legatów przekazuję i ofiaruję cały mój majątek, w papierach Indyjskiéj kompanii, trzy procentowych listach, wekslach, depozytach Banku w Kalkucie, Alfredowi Evelyn, obecnie lub dawniéj będącemu w Cambridge, (ogólne wzruszenie) który jest, jak mi mówiono, podobnym do mnie dziwadłem, jedynemu z mojéj familii który mi się nigdy nie przypominał; który znając ubóstwo będzie umiał najlepiéj używać bogactwa. A teraz, pozwól pan sobie powinszować i oddać ten list zmarłego: sądzę że jest ważny.

Evelyn (patrząc na Klarę). Ach! Klaro! gdybyś mnie była kochała.

Klara (odwracając głową). I tak, jego majątek nieodwołalniéj jeszcze niż ubóstwo, rozłącza nas na zawsze.

(Wszyscy otaczają Evelyna i winszują mu).

Sir John (do Georgiany). Idź dziecko, przybierz weselszą minę. Teraz to świetna partya. Mój drogi chłopcze, życzę ci szczęścia, jesteś teraz wielkim człowiekiem, bardzo wielkim człowiekiem.

Evelyn (na str.). Ona jedna milczy.

Lord Glossmore. Jeślibym mógł być panu pożytecznym.

Stout. Albo ja panie.

Blount. Albo ja! może przedstawić pana w klubach?

Sharp. Będziesz pan potrzebował kogoś do prowodzenia interesów. Zarządzałem majątkiem testatora.

Sir John. Cicho! cicho! pan Evelyn jest tutaj u *siebie* zawsze był tu uważany za syna! Nie ma w świecie nic takiego czegobyśmy nie zrobili dla niego, wszystko!

Evelyn. Pożyczcie mi więc 10 funtów dla mojéj piastunki!

(Wszyscy sięgają po pieniądze).

(*d. c. n.*)

Korespondencya zagraniczna.

(Dalszy ciąg).

Zaciekawiła tu ale i zaniepokoiła zarazem mieszkańców głośna sprawa zbrodniarza Peace, rabusia w rodzaju Cartouche'a i Jakóba Sheppard, przekonywając że nie jesteśmy tu tak bezpieczni jakby się zdawało. Zbrodniarz ten mógłby dostarczyć wątku do niejednego sensacyjnego romansu, i bez zaprzeczenia jest to jeden z najniezwyczajniejszych rabusiów. We dnie wiódł życie zamożnego gentelmena; był wielkim wielbicielem muzyki i sam artystycznie grał na skrzypcach, oraz oddawał się z zamiłowaniem uprawie kwiatów w swoim ogrodzie i ofiarowywał z nich bukiety sąsiadkom i znajomym damom; z nadejściem nocy zaprzęgał do powozu i pędził galopem do domu w którym postanowił popełnić gwałtowną kradzież, a którego położenie i rozkład zbadał pierwéj dokładnie. Przeprowadzone śledztwo przekonywa iż istnieje w Londynie uorganizowana banda, która sprzysięgła się okradać ludzi bogatych ze złota i klejnotów, które najbezpieczniéj i korzystnie sprzedają po za granicami Anglii. Policya tutejsza od dawna już podejrzywa że istnieje nadzwyczaj rozgałęzione stowarzyszenie złodziei, którego oddziały dosięgają aż do antypodów. Peace oprócz licznych gwałtownych kradzieży dopuścił się zabójstwa i zbrodnie te odpokutuje na rusztowaniu. Utrzymuje on że nie miał żadnych wspólników i że wszystkie popełnione kradzieże sam obmyślił i wykonał. Niecnem rzemiosłem swojem dorobił się majątku, który jednak nie odpowiada licznym popełnionym przez niego kradzieżom. Na zapytanie co zrobił ze zrabowanemi klejnotami, odpowiadać nie chciał, raz tylko oznajmił iż w przeciągu godziny mógł zawsze pozbyć się swoich łupów, a w przeciągu dwunastu przesłać je na ląd stały.

Naprowadzona na ślad tem zeznaniem, policya odbyła jednocześnie rewizye u wszystkich podejrzywanych o przechowywanie skradzionych rzeczy. W Bethnal-Green był sklep przedstawiający się bardzo poważnie, a jednak znaleziono w nim, w pakach, najrozmaitsze towary, śrebro, drogie kamienie wyjęte z oprawy, sztuki materyi, szale, drogocenne futra, jakie właśnie zameldowane były policyi jako skradzione w ostatnich dniach. Kto wie czy sławne brylanty lady Dudley, obraz braci Agnev, portret księżnéj Dovoushire, za który zapłacono 250,000 fr. nie znajdują się w jakim haremie nad Bosforem, lub nie zdobią ścian mieszkania jakiego australijskiego bogacza.

Peace znalazł licznych naśladowców; napaści nocne tak często się przytrafiają i takim przestrachem przejmują ludność, iż większa część villi zamiejskich, o które zwykle tak się dobijali kupcy City londyńskiéj, stoją obecnie pustkami.

Z działu piśmiennictwa mogę obecnie podać kilka poważnych i zajmujących dzieł; do takich należy napisane przez p. Justyna M'Carthy, znanego dziennikarza i romansopisarza zarazem, p. n. *Dzieje naszéj epoki od czasu wstąpienia na tron królowéj Wiktoryi, aż do traktatu Berlińskiego* 2 tomy. Autor przedstawia panowanie królowéj szczegółowo, wtajemnicza nas w wielkie przedsięwzięcia polityczne jakoteż w różne intrygi dworskie, a zarazem przesuwa przed nami wszystkie ówczesne i tegoczesne znakomitości. A jak zajmująco umie opisywać nietylko wielkie sprawy i walki polityczne ale i drobne domowe zajścia i intrygi! Pierwszy rozdział zatytułowany: „Król umarł! niech żyje królowa!" opisuje śmierć Wilhelma IV tak prostodusznego iż aż przedstawiają go historycy za ograniczonego. W dzień śmierci, przebudziwszy się, swoim zwyczajem rozmawiał z otaczającymi go przyjaciółmi; następnie kazał sobie czytać i powtarzał modlitwy, prosząc obecnych aby poświadczyli głębokie jego uczucia religijne. Skończywszy, kazał przynieść depesze i silił się na rozmowę o sprawach krajowych bieżących, ze swym przybocznym sekretarzem. Ostatnim aktem jaki podpisał było ułaskawienie

skazańca. Niewymownie dręczyła go myśl że Anglia nie da sobie bez niego rady i jak tylko zamknie oczy stanie się łupem anarchii która doprowadzi ją do upadku. Było coś tak naiwnego w tej miłości własnej, którą zaślepiony, powtarzał iż dlatego jedynie żałuje życia że wie jak rady jego i kierownictwo niezbędne są dla dobra kraju, iż łzy stawały w oczach a jednocześnie uśmiech pojawiał się na ustach słuchaczy. Wilhelm IV był może największem zerem ze wszystkich królów angielskich, i tylko wzorowe jego życie domowe, tak różne od poprzednika, zjednało mu pewną popularność.

Po wstąpieniu na tron królowéj Wiktoryi, mężowie stanu wszelkich stronnictw wystąpili na widownię. Najwybitniejszą ówczesną osobistością był bez zaprzeczenia lord Melbourne, przywódźca wigów. M'Carthy maluje go nader trafnie i zajmująco. Następnie występuje lord Brougham, jaśniejący wówczas całą potęgą swego geniuszu, a który już przed dwudziestu pięciu laty, tak wielką odegrał rolę w sprawie królowéj Karoliny. Nader zabawnie opisuje autor dziwną mieszaninę wielkości i małostek z jakich składał się charakter lorda Brougham. Trudno pojąć tylu rzeczywistych, wielkich zdolności i talentów, obok tak śmiesznéj próżności. Prawo, polityka, nauki, sztuka, literatura, sprawy handlowe i przemysłowe, tak dobrze były mu znane, iż we wszystkich tych przedmiotach mógł rozprawiać ze specyalistami: to téż uważał się za najgenialszego z ludzi. Przegląd pierwszéj za nowego panowania Izby Gmin, daje przewagę tegoczesnym mówcom. Pisząc o sprawach kościoła M'Carthy podaje ciekawe szczegóły o przywódzcy budzącego się w Anglii do życia kościoła katolickiego, którym był jak wiadomo sławny doktór a dziś kardynał Newman. Dowodzi że nawrócenie tego znakomitego męża, nie było bynajmniéj wynikiem nierozważnego zapału lub nagłego natchnienia.

Newman jest jednym z najpierwszych tegoczesnych uczonych. Szukał wiejskiéj samotności, rozważał, rozmyślał, czytał i zgłębiał Pismo św. i Ojców Kościoła, walczył długo sam z sobą, zanim przekonany gruntownie zrucił suknię pastora i przywdział sutannę katolickiego kapłana. Najwięksi nieprzyjaciele, nie mogący mu przebaczyć że porzucił wyznanie protestanckie i tak korzystną pod względem materyalnym katedrę Oksfordzką, muszą z poszanowaniem pochylić czoło przed nieskazitelnością i szlachetnością jego charakteru.

(d. c. n)

Przegląd literacki.

Nowością przedmiotu zaleca się „Rzut oka na piśmiennictwo w Ameryce południowéj“ (zeszyt lutowy). Mowa tu na początek o trzech poetach hiszpańsko-amerykańskich: Bello, Guttierrez i Varela; ich biografie i charakterystyka dzieł skreślone zajmująco i dokładnie, z dołączeniem kilku próbek w udatnem tłomaczeniu.

Szkic p. Łuczyckiego „Sumienie i moralność“ (w zeszycie lutowym) nacechowany zacnym kierunkiem jest za pobieżny: ma on pozór krótkiego wyciągu z dzieł różnych, kompilacyi dokonanéj pospiesznie, czasem ogólnikowo.

To samo, mniéj więcéj, powiedzielibyśmy i o pracy p. Corvin (?) Piotrowskiego p. t. „Voltaire i Rousseau na polu ekonomii politycznéj.“ Autor nie poprzestaje na krótkiem naszkicowaniu pomysłów obu tych filozofów w dziedzinie gospodarstwa społecznego, nietylko krytykuje te pomysły z dzisiejszego punktu widzenia, ale potrąca o system fizyokratów, mówi o Adamie Śmicie, a nawet o całych dziejach nauki ekonomii, począwszy od starożytności i wieków średnich, i to wszystko na *dziesięciu* stronicach.

Z powodu wystawienia w Warszawie obrazu Matejki „Bitwa pod Grunwaldem“ p. Wójcicki umieścił w zeszycie marcowym opis téj bitwy, z dawnych kronik wyjęty. Jest tu także i pieśń starodawna o téj potyczce, najdawniejszy zabytek pieśni historycznych. Wiadomo że w prasie odezwały się dowodzenia iż Grunwald (dosłownie Zielony Las) nazywa się właściwie po polsku Dąbrową; p. Wójcicki zaś pisze wszędzie Grundwald, dlaczego, niewiadomo.

Z prac fachowych, o których sądu wydać nie możemy, wspomnimy artykuł „O wpływie dróg żelaznych na ruch ekonomiczny w Rosyi“ przez p. Blocha i rzecz „O potrzebie poprawy kanału Ogińskiego“ przez p. Szulca.

Tragedya p. Bronisława Grabowskiego „Margraf“ osnuta na tle dziejów wytępienia słowiańszczyzny przez Niemców w wieku X, dowodzi niewątpliwego talentu w założeniu i zarysach charakterów, chociaż wiersz biały, którym jest napisana, czasami mocno kuleje.

W końcu z przyjemnością wypada nam zaznaczyć że redakcya Biblioteki wzięła, jak widać, bardziéj do serca, dwie rzeczy, o których naprawę ciągle wołaliśmy, a mianowicie: dział krytyczny i poprawność języka. Pierwszy bywa teraz opracowanym obficiéj i gruntowniéj niż dawniéj, chociaż wybór dzieł do oceny zawsze jeszcze wydaje się niedość starannym, więcéj przypadkowym: tak możnaby było śmiało pominąć „Dwie Mogiły Grudzińskiego“ i nie rozszerzać się tyle o Asnykowym Kiejstucie. O język i korektę dbałość większa, chociaż pod tym ostatnim względem natrafiamy jeszcze na bardzo grube pomyłki jak np. „przyszedł“ zamiast „przyrzekł“ i „Mniéj“ zamiast „W niéj“ (styczeń str. 78).

Z błędów językowych najwięcéj znajdujemy jeszcze galicyzmów jak np. *nie znajdujemy* tylko jeden przekład (styczeń str. 85): *„porządkując* moje książki wpadły mi w ręce dwa starożytne folianty“ (luty str. 306) i inne np. „patrzącego *się*“ (luty 322); *„śluby* wszystkich ludów świata są za niemi (Włochami tamże str. 350, nieudolne przetłomaczenie franc. *voeux* tu znaczącego *życzenia*). Zdarzają się także usterki stylu jak np. górnolotne i ciemne wyrażenie następujące: „Bajron“ *zasycający* (?) wzniosłe pożądania na polach Hellady“ (luty 327). Do rzędu pomyłek autorskich wypada odnieść np. oznaczenie epoki, w któréj żył Sancheryb, król Assyryi, na *dwieście* lat przed Chr. (marzec 445 Senacheryb żył około 700 roku przed Nar. Chr.) i *William* Grey (zamiast Vivian, Wiwian), tytuł romansu Disraelego (marzec str. 445 i następne, razy kilkanaście).

Nakoniec jeszcze jeden zarzut nieuwagi musimy uczynić redakcyi z następującego powodu. W zeszycie lutowym znajduje się artykuł p. Zielińskiego p. t. „Hieronim Spiczyński,“ w którym podaną jest obszerna i zajmująca wiadomość o botaniczno-lekarskiem dziele tego pisarza XVI wieku, zajmująca także i pod względem terminologii lekarskiéj polskiéj w owych czasach. Otóż p. Zieliński chwali Spiczyńskiego, mówiąc że „był to człowiek odnośnie do pojęć swego wieku *wyżéj wykształcony*, który oprócz botaniki, astrologii, a może i medycyny, zajmował się jeszcze historyą własnego kraju.“ Sąd ten uzasadnia autor na przytoczonéj powyżéj w całości odezwie Spiczyńskiego do czytelników, ciekawéj zaprawdę pod wieloma względami jak np. z tego względu że w epoce powszechnego panowania łaciny, Spiczyński przemawia gorąco za językiem krajowym. Są tu jednak dziwne osobliwości: Spiczyński, wychwalając plemię słowiańskie, nietylko tłomaczy fałszywie przytoczony wiersz Juwenalisa, nietylko sięgając w czasy starożytne, podaje (obyczajem małokrytycznego swego wieku) Sarmatów za Słowian, nietylko utrzymuje napewno że św. Hieronim był Słowianinem ale za Słowianina podaje téż św. Marcina, (biskupa turoneńskiego we Francyi) i co więcéj nawet Aleksandra Macedońskiego! (luty str. 310). Otóż w obec takich umyślnych czy w dobréj wierze podawanych dowodów erudycyi, pisarz naszych czasów nie powinienby wysławiać téj uczoności, a redakcya Biblioteki powinnaby przynajmniéj opatrzyć powyższy sąd autora jakąś ze swéj strony uwagą. Chociaż bowiem i piszącym, i redakcyi może trafić się nieraz popełnić błąd naukowy, ale nie godzi się puszczać między ogół, jako dobrą monetę, sądy i zdania zbyt rażące i błędy z elementarnemi wiadomościami naukowemi sprzeczne.

Przechodzimy teraz do Ateneum.

Zeszyt styczniowy, jak zwykle noworoczne numera wszystkich pism, odznacza się rozmaitością w doborze treści. Rozpoczyna go więc studyum historyczne p. Jarochowskiego „Katastrofa Patkula,“ przyczynek do dziejów epoki 1704—1707. Autor obrał sobie za specyalny przedmiot studyów właśnie ową epokę, panowanie Augusta II i dał się poznać już kilkoma szkicami z owych czasów, w różnych pismach umieszczonemi. W niniejszym zarysie (którego dokończenie znajduje się w zeszycie lutowym) autor zajmuje nas opowiadaniem o tragicznych losach inflanckiego, jak dziśby go nazwano emigranta Patkula, który z nienawiści ku Szwedom, ówczesnym panom Inflant, został doradcą króla Augusta II a zarazem generałem i ministrem Piotra W. sprzymierzonych przeciwko Karolowi XII królowi Szwecyi, a następnie wydany Karolowi przez Augusta, a opuszczony przez Piotra, okrutnie zamęczony został przez Szwedów pod Kazimierzem Wielkopolskim. Cała ta historya opowiedziana tu szczegółowo, ale oprócz niektórych drugorzędnych danych i niepewnych domysłów co do intryg dyplomatycznych Augusta i samego Patkula, nie znaleźliśmy tu nic nowego, coby oddawna nie było znanem.

Mamy daléj artykuł z ciekawym nagłówkiem „Towiański i Mickiewicz“ przez p. Chmielowskiego. Pomimo że dziś jeszcze żyją podobno tu i owdzie między nami wyznawcy nauki zgasłego w roku zeszłym mistrza Andrzeja, ogół nie miał u nas i bodaj że jeszcze nie ma jasnych pojęć o towiańszczyźnie i o stosunku Mickiewicza do Towiańskiego, stosunku, który pod tylu względami był fatalnym dla wielkiego wieszcza. A jednak kwestya to niezmiernéj wagi, zarówno dla przyszłéj biografii Mickiewicza jak i dla dziejów umysłowości i literatury polskiéj w pierwszéj połowie bieżącego wieku. Dziś ta kwestya staje się jeszcze bardziéj zajmującą ze względu na ryczałtowe oskarżenia o *mistycyzm*, które miotają niektórzy „trzeźwi“ krytycy przeszłości (jak F. K. i sam p. Chmielowski) na poetów świetnéj naszéj plejady, a głównie na Mickiewicza, nawet niezależnie od wpływów wywartych na poetę przez Towiańskiego.

Ogłoszona przed kilkoma laty korespondencya Mickiewicza i wydane w r. 1877 w Paryżu dzieło dwutomowe „Udział Mickiewicza w sprawie Towiańskiego“ rzucają nieco światła na ten przedmiot, ale nie wyjaśniają jeszcze wszystkiego. Przyszłość chyba dostarczy nam więcéj źródeł, jak np. spodziewane wydania dzieł Goszczyńskiego i samego Towiańskiego. P. Chmielowski w artykule swym korzystał z dwu wymienionych źródeł, a czasem jesz-

cze z rozprawki Witwickiego: dla znających więc te dzieła niniejszy artykuł jest krótkim z nich wyciągiem, ale dla nieświadomych przedmiotu może być pożądaną skazówką. Niedostateczność podawanych przez pana Chm. wiadomości widoczną jest na każdym kroku, a tam gdzie autor usiłuje uzupełnić brak źródeł własnemi wnioskami i domysłami, najczęściéj czyni to z niebardzo ścisłą logiką i z niewielkiem powodzeniem w wynikach. Tak np. mówi p. Chm. że chociaż Towiańczycy wypierali się wszelkiego związku ze zwolennikami modnego wówczas magnetyzmu, to przecież prawdopodobną wydaje się rzeczą, że sam Towiański, przynajmniéj w młodości, nie gardził nimi (styczeń str. 25). Zkąd to prawdopodobieństwo, niewiadomo. Tak samo bada autor artykułu początków owego kultu Napoleona, który panował w towiańszczyźnie i odnajduje go już w przekonaniach młodzieńczych Towiańskiego; chociaż sam przyznaje że „nie mamy bezpośrednich dowodów żeby Towiański już w młodości swojéj podobne zapatrywanie podzielał. (tamże).

Andrzej Towiański powziął myśl odrodzenia ludzkości i wprowadzenia w życie nauki chrześciańskiéj, któréj przyjęciu się w świecie stoją na zawadzie liczne przeszkody. Głosił on miłość i pokorę i mniemał że można dokazać cudu przerobienia i udoskonalenia ludzkości jedynie pracą wewnętrzną, skupieniem ducha, *drganiem* duchowem (ulubiony to wyraz towiańczyków). Dążność była więc, bez zaprzeczenia, piękną i wzniosłą, ale środki jéj dopięcia, ubogie i bezsilne, a ów obłęd widzeń i cudotwórstwa, w którym mistrz Andrzéj utrzymywał swych uczniów własnym przykładem, połączony z pewną ograniczonością umysłową samego Towiańskiego i z brakiem pojmowania dziejów i warunków życia praktycznego, wreszcie przesadna cześć dla Napoleona i inne dziwactwa, wszystko to uczyniło towiańszczyznę sektą jałową, oddaną czczéj mistyce, a wkrótce i pośmiewiskiem ludzi zimnych i praktycznych.

O pierwszem wystąpieniu Towiańskiego w Paryżu, o pierwszych jego zwolennikach i początkach stosunków z Mickiewiczem, znajdujemy w artykule pana Chm. same szczegóły oddawna znane. Nieco więcéj mamy tu wiadomości o mowach i kazaniach towiańczyków i o późniejszéj aż do 1855 korespondencyi mistrza z Mickiewiczem. Ciekawe są np. poglądy Towiańskiego na wypadki historyczne. Pomimo że duchowieństwo katolickie krzywo spoglądały na zawiązki towiańszczyzny, a w końcu otwarcie wystąpiło przeciwko nowéj sekcie, Towiański i ważniejsi jego zwolennicy, nie przestawali uważać się za katolików, za jedynych prawdziwych katolików. Reformacyą Lutra potępiał Towiański za pozbawienie religii obrzędów i za wprowadzenie do wiary pierwiastku rozumowego; w kościele protestanckim, jak mówi mistrz, „nie ma ofiary, a zatem żadnego postępu,“ Napoleon I, według Towiańskiego, miał zadanie urzeczywistnić myśl Bożą, ale nie spełnił téj misyi i upadł, dlatego że chciał zwyciężyć Anglią jéj własnym orężem, to jest na polu handlu i przemysłu, i tem sprzeciwił się woli bożéj, gdyż „Bóg popiera handel i przemysł Anglii, ponieważ są one na wysokości ducha angielskiego: „Anglicy, powiada Towiański, są według ducha“ dziećmi dwuroczniemi, które bawią się złotem, zajmują więc pomiędzy narodami stanowisko upośledzone. Niemcy, to już dzieci trzyletnie, które mogą zajmować się filozofią; trzy zaś narody, które doszły już do wieku młodzieńczego, a mianowicie Izraelici, Polacy i Francuzi, nie mogą zajmować się ani handlem i przemysłem ani filozofią, lecz są to narody wybrane, przeznaczone do przyjęcia i urzeczywistnienia nowéj nauki Towiańskiego. Przezornie postąpił sobie mistrz, nie pominąwszy Francuzów, w kraju których zaczął głosić swą naukę; pochlebił bardzo rodakom, uznawszy ich za dojrzalszych od Niemców i Anglików; niemniéj praktycznie starał się sobie ująć żydów, stanowiących w wieku naszym potęgę pieniężną. Wszelako praktyczne dzieci Abrahama pozostały obojętnemi na propagandę towiańszczyzny: *jeden* tylko żyd wymieniony jest pomiędzy towiańczykami. Później mistrz stał się mniéj wybrednym i łaskawszym dla innych narodów, pozwalając przyjmować do swéj sekty nawet Szwajcarów i Niemców, ale ci nie chcieli korzystać z tego ustępstwa. Zręcznie i dla przypodobania się Francuzom, towiańczycy wyznawali tak wielką cześć dla Napoleona I: nie należy bowiem zapominać, że było to w czasie gdy po przewiezieniu do Francyi zwłok Napoleona z wyspy św. Heleny (1841) obudziły się na nowo pamięć o wielkim cesarzu i uwielbienia dla jego geniuszu. Ztąd to nawet Waterloo, gdzie ostatecznie zwyciężony został Napoleon, było miejscem pielgrzymki dla towiańczyków; ztąd i Mickiewicz przepowiedział ciągle powrót Bonapartych i wielkie z tym wypadkiem łączył nadzieje. Pomimo to, gdy ów powrót nastąpił, nowy rząd francuzki bynajmniéj nie popierał towiańszczyzny; przeciwnie, nie kto inny ale właśnie Ludwik Napoleon, jeszcze jako prezydent rzeczypospolitéj, odjął Mickiewiczowi katedrę literatur słowiańskich w Collège de France, za szerzenie nauki Towiańskiego.

Doznawszy tych i wielu innych gorzkich zawodów a w niczem powodzenia, sekta Towiańskiego rozprzęgła się już w 1848 r. i potem przyszła do zupełnego upadku. Wyrządziła ona, oprócz obałamucenia wielu umysłów niedościgłemi mrzonkami, i tę jeszcze szkodę, że powstrzymała twórczość poetycką dwóch takich mistrzów jak Mickiewicz i Słowacki. Mickiewicz pozostał jednak wiernym sekcie aż do zgonu, chociaż doznawał pewnéj niesprawiedliwości od samego mistrza, który w przytaczanych przez pana Chm. listach, oskarżał wielkiego wieszcza o niepowodzenia sekty, mieniąc to jego winą.

Na zakończenie wypisuję tu jeszcze niektóre przepisy i obrzędy sekty Towiańskiego.

„Człowiek ma trzy obowiązki do spełnienia: podnieść ducha, zdobyć ciało, podnieść ciało do wysokości ducha. Człowiek powinien się egzaltować, bo egzaltacya daje siłę. Ale egzaltować się bez przeniknienia (?) ciała jest to zbaczać z drogi prostéj. Kto egzaltuje się tylko w duchu, jak Francya, jak panie salonowe, ten dokonywa tylko pozorów: egzaltacya jest fałszywa. Jak tylko wzniesiemy ducha, powinniśmy duchem tym przeniknąć swe ciało, a wówczas możemy wpływać na innego człowieka i udzielać mu ruchów swego ducha... Pierwszym środkiem do uczynienia egzaltacyi prawdziwéj, jest modlitwa (w duchu, nie zaś wyłącznie słowami); dalszemi środkami są: praca w duchu, pomoc udzielana ciału, aby powolne było duchowi, spowiedź inne sakramenta, poprawa życia, darowanie urazy i czekanie hasła szczęścia swego (?), wyrabianie czucia mocy, zapomnienie o sobie, strzeżenie suchości i ospałości ducha, (bo lepiéj być dziecinnie i chłopczykowato (!) wesołym, niż ociężałym), zdanie się na Boga, słuchanie, staranie się o pokój duszy, oczyszczenie wnętrza z zarazy arystokratycznéj, unikanie wszelkiego zaprzeczenia, z którego rodzi się dyskusya.“

Królową „sprawy świętéj“ była Matka Boska Ostrobramska, któréj wizerunek zawiesili towiańczycy w kościele paryzkim św. Seweryna. Wpatrywanie się w ten obraz i modlitwa przy nim były zalecane. Krucyfiksu nie protegowali towiańczycy; mieli natomiast krzyż biały bez męki pańskiéj i chorągiew z wizerunkiem Chrystusa. Post nowego zakonu był taki, że od wschodu słońca do zachodu wstrzymywano się od wszystkich działań, rozmów i myśli, nie będących w związku z nową nauką. Oprócz pielgrzymek do Waterloo, towiańczycy pielgrzymowali także do Einsiedeln, w Szwajcaryi. Stowarzyszeni nosili znaki i medale. Towiański i Mickiewicz chcieli wybudować nową kaplicę sekty pod wezwaniem P. Maryi Ostrobramskiéj, albo przynajmniéj osobny ołtarz w kościele św. Seweryna, ale do tego nie przyszło.

(d. c. n.)

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Pani Paulinie B. we Włocławku. Korespondencyi łaskawie doręczonéj osobiście, tak jak i przeszłéj brak właściwych materyałów korespondencyjnych. Przedmiot który traktuje, nader ważny, potrzebuje oddzielnego obrobienia zupełnie rzecz wyczerpującego: tak jak go dotknięto w korespondencyi, może być przyczepione do innych wiadomości, ale oddzielnie ogłoszone dziwnemby się niezmiernie wydawało.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 30 Іюля 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 33, r. 1879.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— Miałem sposobność oddać jéj małą przysługę, a w jéj wyobraźni, jak to zwykle bywa u kobiet, kretowisko przybrało rozmiary góry, i dla tego przyjmowała mnie tak dobrze. Więc jest zawsze równie niebezpieczną jak dawniéj? Któż jest ostatnią z ofiar która dostała się w jéj szpony.

— Tych ofiar możnaby naliczyć setki. Między innymi jest dwóch bogaczy, Amerykanów, gotowych pozarzynać się wzajemnie dla niéj; jest jakiś książę austryacki, na którego drzewie genealogicznem wyrosło już w prostym kierunku dwadzieścia pięć odrośli, posiadający czystą krew błękitną, i co prawda pustą kieszeń, ale który gotów jest na każde jéj skinienie nadać jéj swój tytuł i nazwisko. Jest jeszcze książę Venturini, który wszedł w posiadanie swego majątku jak tylko partya młodych Włoch wzięła przewagę. Dawny to już jéj wielbiciel, i utrzymują powszechnie, że byle tylko umiała zachować pewne pozory, zostanie księżną Venturini. Nakoniec do pierwszorzędnych, przynajmniéj w oczach Felicyi, bo utrzymują, że kolie, bransolety, pierścienie i tym podobne rzeczy które jéj przynosi, mogłyby zapełnić wystawę sklepową jubilera, — należy lord Dynely.

Terry słuchał obojętnie tych wszystkich szczegółów, patrząc na obłoczki dymu przybierające w powietrzu fantastyczne kształty, ale usłyszawszy to nazwisko, wyprostował się nagle i spojrzał bystro na swego towarzysza.

— Kto? zapytał z żywością.

— Dynely; zdaje mi się że go znasz. Ale tak, podobno nawet jesteście z sobą spokrewnieni. Ożenił się koło Bożego Narodzenia z córką jakiegoś wiejskiego pastora, wszak prawda? No, daję słowo, że z jego postępowania niktby się nie domyślił że ma żonę, a i on sam widocznie zapomniał o tem.

— Więc Dynely jest w Paryżu?

— Już od trzech tygodni. Słyszałem że po ślubie wyjechał do Bretanii czy też Normandyi, gdzie miał spędzić miodowy miesiąc, ale już w tydzień po ślubie, życie we dwoje na łonie pięknéj natury zdawało mu się rzeczą nieznośnie nudną. Iluż to mężów podzielało i podzielać będzie jego zdanie! Z początku zaczął wyłamywać się z pod jarzma konwenansów, a końcu złamał i przysięgę wykonaną żonie. Pojechał do Paryża, i wkrótce jakby jakie niedoświadczone gąsiątko, dostał się w szpony pięknego ale drapieżnego ptaka, zwanego Felicya.

Twarz Terrego pokryła się śmiertelną bladością. Burrard widocznie dręczony zazdrością, i niezdolny mówić spokojnie o pięknéj baletniczce, ciągnął daléj z wzrastającą żywością:

„Daję ci słowo, Terry, nie widziałem jeszcze aby ktoś w tak krótkim czasie zapędził się tak daleko. Biega wszędzie jak szalony za tym szatanem kusicielem. Trochę zawcześnie po ślubie skazał swą młodziuchną i śliczną żonkę, na samotne życie w Wielkim Hotelu. Wszyscy mówią o tem w Paryżu. Czy ją znasz Terry?

Przy tych słowach Burrard zwrócił na niego oczy, i wtenczas dopiero spostrzegł straszną bladość jego twarzy.

— Tak, znam ją odpowiedział wolno. Jakże się ona ma, Burrard'zie.

— Widziałem ją raz tylko, i to zanim jeszcze Felicya opętała jéj męża. Widziałem ich na spacerze, i pamiętam że wszyscy oglądali się za tą śliczną blondyneczką. Była także raz na balu w ambasadzie, i następnie, przez trzy dni, piękność jéj była głównym przedmiotem rozmowy w klubach. Zjawiła się wtenczas po raz pierwszy i ostatni. Teraz nowa ta gwiazda istnieje wprawdzie, ale nie można już jéj dojrzyć gołem okiem. Kiedy mąż nie odstępuje Felicyi jakby cień lub piesek, biedna żona nudzi się sama jedna w domu. Ma się rozumiéć że nie wspominałbym wcale o tem, dodał Burrard, obawiając się czy nie zaszedł za daleko, gdyby nie to że wszyscy mówią o tem w Paryżu. Lord Dynely nie ukrywa swéj namiętności dla pięknéj baletniczki.

Twarz Terrego zwykle łagodna i wesoła, stała się teraz posępną i surową, a oczy miały połyski stali; Horacy Burrard nigdy jeszcze nie widział go w takiem usposobieniu. Pomimo to Dennison zapytał go spokojnie.

„I książę Venturini dozwala jéj tak postępować? Doprawdy, pozostawia zbyt wiele wolności téj która ma kiedyś nosić jego nazwisko. Nie sądziłem aby ten Neapolitańczyk należał do rzędu istot tak pobłażliwych i potulnych.

— Nie zrozumiałeś mnie dobrze, Terry, odpowiedział Burrard. Nie utrzymuję bynajmniéj że Felicya posuwa się o wiele daléj jak większa część zalotnych kobiet. Jest zalotna do najwyższego stopnia, gotowaby się wdzięczyć do swego portyera gdyby zabrakło innéj zwierzyny, ale nie ma tam rzeczywistego skandalu. Venturini należy do ludzi zdolnych strzedz swego honoru, strzela wybornie, i odbył już bardzo wiele pojedynków z których zawsze wychodził szczęśliwie, a Felicya jest jego narzeczoną, i ma przy sobie damę do towarzystwa czujną i nieprzyjemną jak stary pies owczarski, wdowę po jakimś pastorze, która nigdy jéj nie odstępuje. To jednak pewna że przyjmuje od mężczyzn podarunki, doprowadza ich do szaleństwa, rujnuje, a następnie odtrąca od siebie z tak zimną krwią jak ja rzucam to dopalone cygaro. Skoro tylko jednego ptaszka oskubie zwraca się do drugiego; piękna Felicya ma wstręt do adoratorów z pustą kieszenią.

Burrard powiedział to z goryczą; widocznie i on musiał należyć do liczby oskubanych i odrzuconych. Po chwili milczenia spojrzał na zegarek i zapytał wstając:

— Czy jesteś już po obiedzie, Dennison'ie?... każałem...

— Dziękuję, jadłem obiad dwie godziny temu. Nie zatrzymuję cię. Dobranoc.

Twarz Terrego nie utraciła jeszcze wyrazu posępnéj energii kiedy wszedł do swego pokoju.

„Nie ma, rzekł do siebie, ojca ani brata któryby mógł ją bronić, ale ja mogę zastąpić ich miejsce, skoro nie wolno mi być dla niéj czem innem. Jeżeli Burrard mówi prawdę, czas już biedz jéj na pomoc.“

Przyszły mu na pamięć własne jego słowa Czy już tak prędko nadszedł czas w którym potrzebuje stanąć w jéj obronie, przeciwko mężowi którego kocha a który opuścił ją tak niegodnie? Zna on dobrze Eryka, wie jak spokojnie i bez najlżejszego wyrzutu sumienia kruszy bożyszcza którym przez chwilę składał ofiary; wie jak mało troszczy się o wszelkie zasady, jak słabe jest w jego duszy pojęcie obowiązku; jak lekceważy wierność. Wie że jest równie niestałym jak fale, a przytem do najwyższego stopnia samolubnym, i nie zwracającym uwagi na wszelkie dalsze następstwa swych czynności, skoro mu idzie o zadowolnienie swéj fantazyi. I od takiego to człowieka zależy szczęście i życie Izy!...

Przypomniał sobie co powiedział do niéj w dzień jéj ślubu.

„Przyrzecz mi, że gdybyś kiedykolwiek znalazła się w położeniu przykrem, bolesnem, gdybyś potrzebowała pomocy przyjaciela, udasz się prosto do mnie.“

Biedna Iza nie wezwała go wprawdzie, ale on wie że nie zapomniała słów jego.

„Jeżeli jest dla niéj nieczułym, obojętnym, gotów jestem zabić go własną ręką, mruczał zacisnąwszy zęby. Zaledwie miesiąc po ślubie i już opuszczona! O! moja biedna, kochana Iza!

Pojedzie do niéj, pojedzie natychmiast. Dopóki Eryk był dla niéj dobrym, nie potrzebowała jego pomocy; ale teraz kiedy już się nią znudził, kiedy pokochał inną, ona go potrzebuje i powinien do niéj pośpieszyć niezwłocznie. Pojedzie jutro. Eryk musi dobrowolnie lub wbrew swéj woli opuścić Paryż i tę wymalowaną czarownicę, doprowadzającą młodych szaleńców do upadku; musi wrócić żonie dawne przywiązanie i należne jéj względy. Nie może bezkarnie zaniedbywać jéj i zakrwawiać jéj serca.

Terry przez całą noc nie zmrużył oczu; kręcił się niespokojnie na łóżku, słuchając szumu deszczu i świstu wiatru. Zanim jeszcze zaświtał mglisty i posępny dzień, był już w przystani przy moście londyńskim, a wieczorem stanął w Paryżu.

Rozdział II.

W Paryżu.

Luty tak mglisty i ponury w Londynie, w Paryżu lśni się promieniami słońca. Szerokie ulice Bulońskiego lasku i Pól Elizejskich są pozbawione szmeru liści i zdobiącéj je zieloności, ale szron pokrywający drzewa połyskuje jak srebro, sople lodu lśnią się jak klejnoty pod promieniami słońca, i wygodne, świetne życie, któremu niebo Paryża zawsze sprzyja, roztacza się w całym swym blasku.

W chwili przybycia Terrego do Paryża, światło gazu zastąpiło słońce, i oczom przywykłym do mglistego powietrza londyńskiego, wydało się prawie równie jasnem. Ulice zapełnione przechodnia-

mi. Wiozący go fiakr wjechał w rzęsiście oświetloną bramę Wielkiego Hotelu, i zatrzymał się na obszernym dziedzińcu.

„Czy jest tu jaki niezajęty pokój? zapytał szwajcara.

— Tak, panie, mamy jeszcze jeden, ale aż na piątem piętrze.

Było to rzeczą obojętną dla Terrego i zamierzał wejść na schody, ale zawrócił się jeszcze i zapytał znowu:

— Czy tu mieszka lord i lady Dynely?

— Tak, panie, na pierwszem piętrze; w apartamencie któren zajmował przed nimi Jego książęca mość książę...

Terry wszedł na piąte piętro i udał się do 822 numeru, zadając sobie pytanie czy oni są teraz w domu. Czy ona jest? Jak go Eryk powita? Ale mało go to obchodzi. jeżeli tylko to co Burrard powiedział jest prawdą, bo w takim razie nadszedł już czas załatwienia rachunków między nim i Erykiem.

W tymże samym czasie lady Dynely siedziała sama jedna w swym wspaniałym apartamencie. Sama jedna! Biedna Iza! Kiedyż ona teraz nie jest samotna!... Siedzi skulona w wielkim aksamitnym fotelu, przy oknie, i patrzy na rzęsisto oświetlony i ludny dziedziniec przybrany pięknemi kwiatami, gdzie wysmukłe palmy rosnące w ogromnych wazonach, dotykają wierzchołkami szklanego dachu. Jej blond włosy spadają w nieładzie na jéj ramiona i kosztowną błękitną suknię, ale cóż ją to obchodzi? Eryk jéj nie widzi, Eryka teraz nie ma przy niej nigdy; i ona sama i toaleta jéj nie obchodzą go już wcale. Eryk nie dba o nią, nie jestże to najstraszniejszem nieszczęściem jakie ją spotkać mogło?

W jéj całéj postawie maluje się rozpacz i straszna boleść. Światło pada na jéj ładną i młodą twarzyczkę, ale która już, niestety! straciła swój dziecięcy wyraz. Pokosztowała owocu z drzewa wiedzy, i ten owoc był dla niéj bardziéj gorzkim niżeli śmierć. Wyraz niewinnéj nieświadomości stanowiący jeden z najgłówniejszych jéj wdzięków, zniknął zupełnie. Jéj delikatna płeć, pokryta jeszcze puszkiem młodości, straciła już część swéj aksamitnéj puszystości; przejrzysta białość cery, zamieniła się w matową bladość; śliczne różowe kolorki znikły z jéj policzków, a turkusowe oczy, wyrażające dawniéj tyle słodyczy i czułości, rzucają teraz tak bolesne i rozpaczliwe spojrzenia, jakby straciła już wszelką szczęścia nadzieję. Nie upłynęło jeszcze sześć tygodni od chwili w któréj jako szczęśliwa narzeczona uklękła przed ołtarzem aby odebrać błogosławieństwo ślubne, a w oczach jéj maluje się już boleść opuszczonéj małżonki.

Oparła czoło na chłodnéj szybie, ręce spuściła na kolana, a tak już zeszczuplała że obrączka zsuwa się z jéj palca. Patrzy roztargnionym wzrokiem na przechodniów snujących się w tę i owę stronę, na wjeżdżające i wyjeżdżające powozy i wysiadające z nich osoby. Jest sama już od dwóch godzin, które jéj się wydają długie jak wiek cały. Nie lubi czytać, nie może sama pójść nigdzie; nie wypada zawołać panny służącéj aby z nią rozmawiała, a nie zna nikogo więcéj.

Nagle zadrżała. Z fiakra który zajechał właśnie wysiadł jakiś mężczyzna. Przy świetle gazu Iza widziała przez chwilę twarz jego, i serce jéj silniéj bić zaczęło. Wysoki, szeroki w ramionach, z rudawą brodą, w okrągłym kapeluszu i podróżnem ubraniu, nowoprzybyły był bardzo podobny do Terrego. O! gdyby mogła zobaczyć Terrego, tego poczciwego Terrego; albo kogobądź z rodziny, choćby uszczypliwą Elżbietę Joannę, lub kłótliwą Belindę! Jakże dawno już ich nie widziała; rozłączyła się z nimi w dzień ślubu! W dzień ślubu! Od tego czasu upłynęło sześć tygodni, tylko sześć tygodni, a jak była szczęśliwa! Eryk ją kochał! o! tak, kochał! Cały ten dzień tak żywo i wiernie przedstawia się w jéj pamięci że aż serce ścisnęło się jéj boleśnie. Przypomniały jéj się słowa które Terry z dziwnym jakimś naciskiem, wyrzekł do niéj przy pożegnaniu; przez te kilka tygodni nie pomyślała o nich wcale.

„Przyrzecz mi że gdybyś kiedykolwiek znalazła się w położeniu przykrem, bolesnem, gdybyś potrzebowała pomocy przyjaciela, udasz się prosto do mnie. Byliśmy z sobą przez całe nasze życie jak brat z siostrą, zaklinam cię na pamięć tego wspólnego przywiązania, nie odmawiaj méj prośbie."

Ona śmiała się wtenczas, pewna że to nigdy stać się nie może. A jednak jakże prędko sprawdziły się jego słowa! Ale nie może go wezwać, nie może wyznać tego ani jemu, ani téż nikomu w świecie. Powody jéj smutku są takie że je należy ukrywać przed wszystkimi. Tylko Opatrzność może ją wydźwignąć z téj niedoli. Co było powodem takiéj zmiany? Czy pochodziła z jéj winy? Przebiegła myślą krótki swój żywot jako mężatki i czuła to dobrze że nie cięży na niéj żadna wina. Byli tak szczęśliwi w Bretanii, tak głęboko i niewysłowienie szczęśliwi, że, jak się wyraził pewien dowcipny pisarz angielski „gdyby to szczęście podzielić na cienkie płatki i otoczyć ich nimi, wystarczyłoby im z pewnością na całe życie." Byli szczęśliwi; pokosztowali w pierwszym tygodniu szczęścia zupełnego, nieograniczonego, w drugim już umiarkowanego, przynajmniéj co się tyczy Eryka, trzeci zepsuł im czas słotny i gwałtowne wichry, to téż przy końcu małżonek już ziewał w obecności swéj młodéj żonki. Bezwątpienia, kochał jeszcze Izę, ale cztery dni nieustającéj słoty, w nudnem miasteczku w Bretanii, są dostateczne aby znużyć płochy umysł męzki.

„Ach! Izo, powiedział Eryk z przeciągłem ziewaniem, jakże nieznośnie jednostajny czas mamy! Nie mogę pozostać w Saint-Malo w tak piekielnym czasie. Nie mogę, słowo daję! Jest to zawsze kąt śmiertelnie nudny, i trudno nawet wymagać aby istota myśląca mogła tu wytrzymać dłużéj nad piętnaście dni. Gdybyśmy też wyjechali do Paryża?

Gdyby Eryk był powiedział: Pojedźmy jak Hans Pfaal, balonem na księżyc, i obierzmy tam sobie mieszkanie, Iza zwróciłaby tylko na swego ukochanego pana i władzcę pełne uwielbienia oczy, potem włożyłaby swoje podróżne ubranie i udaliby się w podróż. Paryż, Saint-Malo czy księżyc, było to zupełnie obojętne dla téj młodziutkiéj mężatki, która ukochała męża jakąś bałwochwalczą miłością.

Nazajutrz byli już w Paryżu, i rozpoczęły się troski Izy. W pierwszych dniach wszystko szło jeszcze dobrze. Eryk jeździł z nią do lasku Bulońskiego, a pochwały oddawane żonie mile łechtały jego miłość własną. Zaprowadził ją także do Louwru, do Touilleries, na bal w ambasadzie angielskiéj i na obiad do księcia d'Albermarle.

Czwartego dnia wieczorem, deszcz padał i wiatr był silny, a Iza miała lekką migrenę i wyjść nie mogła. Eryk był na proszonym obiedzie, a następnie poszedł z dwoma znajomymi do teatru *Nouveautés*, w którym Felicya miała wystąpić w nowéj sztuce: *Czarownica*. Poszedł i los Izy fatalnéj uległ zmianie.

„Dziwna to rzecz, odezwał się Eryk, siadając w krześle obok swych przyjaciół, że dotąd nie widziałem jeszcze téj sławnéj Felicyi; ale wyjechała z Londynu zanim ja tam wróciłem. Czy jest rzeczywiście tak zachwycającą jak utrzymują powszechnie?

— O! sam to ocenisz najlepiéj skoro ją zobaczysz, powiedział jeden z jego towarzyszy. Jeżeli to prawda co mi mówiono, że jesteś zlepkiem utworzonym z materyj palnych, to jedna iskierka z jéj czarnych oczu wystarczy aby w tobie rozniecić pożar.

Eryk roześmiał się głośno.

„Wszystko to już przeszło, mój drogi. Straciłem zupełnie gust do brunetek, i mogę się nie obawiać wszystkich czarowaic ukazujących się na scenie.

Kiedy to mówił czuć było w jego głosie jakieś ciepło serdeczne, a przed oczyma jego stanęła śliczna i miluchna twarzyczka otoczona złotemi włosami.

O! tak, minęło już panowanie brunetek; już na zawsze oddał serce swojéj złotowłoséj Izie.

W téj chwili podniesiono kortynę, i przy dźwiękach muzyki, *Czarownica* wbiegła na scenę, oświetloną światłem elektrycznem, w leciuchnych skokach. Powitano artystkę grzmotem oklasków, a ulubienica publiczności uśmiechała się i przesyłała pocałunki przyjaciołom.

Eryk przyglądał jéj się ciekawie. W swem krótkiem, błyszczącem od złota ubraniu, wyglądała tak jakby się okryła promieniem słońca, włosy przytrzymywane nad czołem brylantową opaską spadały jéj na ramiona w długich puklach; wielkie czarne oczy błyszczały silniejszym jeszcze ogniem niż dyamenty. W jakimkolwiek była wieku, na scenie wyglądała na ośmnaście lat.

„Na honor! Argyll'u, zawołał Eryk, jest to piękność olśniewająca.

Argyll, uśmiechnął się.

„Ostrożnie Dynely; Felicya nie oszczędza nikogo. Tak, jest piękna, ale tygrysica i pantera są także piękne i równie jak ona nielitościwe."

Najprzód tańczyła, a ileż to poezyi, ile wdzięku było w każdym jéj ruchu; potem zaczęła śpiewać i przepyszny głos kontraltowy rozległ się w teatralnéj sali. Sama sztuka niewiele była warta, ale artystka tak się przejęła swoją rolą, jéj gra była tak naturalną a zarazem tak namiętną, że wszystkich pociągała za sobą. Kiedy nakoniec stawiono ją przed sądem jako czarownicę, kiedy została skazaną na śmierć przez spalenie, kiedy już pod nią stos zapalono, i kiedy z wyrazem strasznego cierpienia i dzikiéj rozpaczy, zaczęła dla siebie saméj śpiewać hymn śmierci, jakaś przykra, pełna niepokoju cisza zaległa salę. Płomienie wznoszą się coraz wyżéj, śpiew ucisza się stopniowo, a w końcu zamienia się w jeden krzyk straszny, przeraźliwy, nie mający już w sobie nic ludzkiego; i zasłona zapada. Czarownicę żywcem spalono na stosie.

„Nie można było zrobić nic lepszego, odezwał się Argyll; szkoda tylko wielka że nie spróbowano dotąd zamienić zmyślenia na rzeczywistość. Znajduje się w tem mieście wiele piękności niemiłosiernie chciwych, ale przysięgam na honor że ta przechodzi je wszystkie, i jest najnikczemniejszą kobietą w Paryżu. Obudźże się, Dynely! Słowo daję, już wpadł w zachwycenie.

Teatr drży prawie od grzmotu oklasków.

„Felicya!... Felicya!... wołają setki głosów.

Ukazuje się, sunąc się raczéj jak stąpając po scenie, uśmiecha się i kłania z gibkością ruchów przy-

pominającą ruchy węża, z układnym wdziękiem pantery. Grad bukietów spada na scenę, ona uśmiecha się znowu i odchodzi, publiczność opuszcza teatr.

„Może życzysz sobie Dynely dostać się za kulisy i być jéj przedstawionym zapytał go jeden ze znajomych. Zdaje mi się że masz wielką ochotę, a ja z łatwością mogę cię tam wprowadzić. Będzie zapewnie kolacya, a nie można wymarzyć nic ponętniejszego nad kolacyę u Felicyi. Liczę się do jéj dawnych znajomości, dodał śmiejąc się; wszyscy moi przyjaciele mogą być pewni że doznają od niéj uprzejmego przyjęcia.

Oprzeć się głosowi kusiciela, wyrzec się jakiejś nęcącéj go przyjemności, było to dla Eryka czynem poświęcenia do którego nie był nigdy zdolnym; i teraz też nie odstąpił od swego zwyczaju.

„Będę ci bardzo wdzięcznym, kochany Argyll'u. Na honor! to odurzająco piękna kobieta, nie podobna temu zaprzeczyć.

Felicya nie szczędziła Erykowi uroczych spojrzeń i uśmiechów, i zaprosiła go na kolacyę.

Eryk przyjął zaproszenie. Na chwilę stanęła mu przed oczyma twarz żony, patrząca na niego z wyrazem smutku, ale odpędził od siebie to natrętne widmo.“ Śpi już dawno, cóż jéj to może szkodzić że wrócę parę godzin później,“ tłomaczył sobie.

Argyll miał słuszność utrzymując że kolacya będzie prawdziwem arcydziełem; kuchnia doskonała, towarzystwo męzkie wybrane z ludzi dystyngowanych i dowcipnych, kobiece, złożone z najpiękniejszych i najsławniejszych aktorek z Paryża. Eryk wrócił do domu dopiero o świcie, zupełnie pijany, jednak nie wino doprowadziło go do tego stanu, ale upajające uśmiechy i zabójcze spojrzenia Felicyi.

Nazajutrz, byłże to prosty przypadek? Spotkali się znów w Bulońskim lasku. Lord Dynely jechał konno, Felicya w pysznym powozie ciągnionym przez dwa kare, arabskie konie.

Lord Dynely zostaje znów pod wpływem czarodziejskich spojrzeń i uśmiechów. Jedzie ciągle przy jéj powozie, i zwracają na siebie ogólną uwagę.

Felicya miała na głowie śliczny kapelusik, prawdziwe arcydzieło w swoim rodzaju, w którym wyglądała bardzo młodo; okrycie z fioletowego aksamitu, obszyte kosztownem futrem, ślicznie przypadało jéj do twarzy. Ścigały ją wszędzie pełne zachwytu spojrzenia, wszędzie odbierała ukłony najświetniejszéj młodzieży, a ona jak królowa pochyla tylko głowę na jedną i na drugą stronę, odpowiadając na te hołdy.

Wprawdzie kobiety odwracają się od niéj, ale cóż dziwnego! jest to przecie baletniczka za którą mężczyzni szaleją i dla któréj się rujnują.

Że jest pierwszorzędną i niebezpieczną kokietką, to nie podpada wątpliwości, ale nic więcéj zarzucić jéj nie można. Pies owczarski, ta wdowa po pastorze, przyzwoitość uosobiona, pełniąca przy niéj obowiązki damy do towarzystwa, nie opuszcza ją ani na chwilę.

Wyrok skazujący Izę na utratę szczęścia stał się już nieodwołanym. Teraz dla niéj pozostała tylko zimna obojętność przeplatana jedynie wyskokami niecierpliwości. Co wieczór Eryk wychodził z domu pod jakimś pozorem, a ona pozostawała sama i zawsze długo a napróżno czekała jego powrotu. Co to miało znaczyć? Czem na to zasłużyła?

Nie mogła zrozumieć podobnéj zmiany. Czy Eryk przestał ją kochać, czy go już znudziła! Jéj piękne, pełne wyrazu najżywszéj czułości oczy, zadawały mu lękliwie to pytanie, i tym sposobem rozniecały w nim jakiś niepokój; jéj dobroć i niezmordowana cierpliwość powstrzymująca ją od najlżejszéj wymówki, budziły w nim wyrzuty sumienia i dla tego właśnie unikał jéj coraz więcéj. W końcu znikła wszelka niepewność, błękitne oczy o nic już pytać nie potrzebują, i tylko rozpacz wyrażają.

Jakkolwiek żyła jak w klasztorze, w zupełnem prawie odosobnieniu, doszły do niéj pogłoski z których dowiedziała się prawdy. Eryk już jéj nie kocha; inna kobieta zachwyciła go, wzbudziła w nim namiętność. Wszystko już dla niéj stracone. Nawet służące mówią już o szalonéj miłości Eryka dla Felicyi, o kosztownych podarunkach jakiemi ją obsypuje, o jego ciągłym przy niéj przesiadywaniu, i to prawie w obecności Izy. Jéj panna służąca spogląda na nią nawet ze szczerem politowaniem. Wszyscy w Paryżu wiedzą że została opuszczoną przez męża, i to jeszcze przed końcem miodowego miesiąca. Z ust jéj nie wyszła żadna skarga, żaden wyrzut, tylko rumieniec znikł z jéj twarzy i wesołość zagasła w oczach. Dla niéj było to zupełnie to samo jak gdyby ją opuściło życie.

Była więc sama tego wieczora, jak teraz już zawsze. Nie bywała nigdzie i nie przyjmowała wizyt, pomimo to przyszedł do niej, gentelman, któremu otworzyła drzwi Marjeta, pokojówka.

Iza wstała trochę zmieszana, nie dosłyszała nazwiska. Gość zbliżył się do niéj, i jednocześnie okrzyk radości i podziwienia rozległ się w pokoju.

„Terry! zawołała. O! Terry... Terry!

Przybiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Biedaczka była tak osamotniona, zrozpaczona, stęskniona, a wszakże Terry jest prawie jéj bratem, i był zawsze tak dobrym dla niéj.

Twarz Terrego pokryła się żywym rumieńcem; oprzytomniała wtenczas i zawstydzona cofnęła się odrzucając w tył gęste, spadające jéj na ramiona włosy.

Przyszedłeś tak niespodziewanie, i tak jestem szczęśliwa że zobaczyłam twarz dawno mi znaną! Usiądźże, Terry. Kiedyż wyjechałeś i jak się tam wszyscy mają?

Ręce jéj drgały nerwowo, a usta drżały jak u dziecka któremu się zbiera na płacz. Stała się bardzo wrażliwą w skutek osamotnienia i przygniatającego ją nieszczęścia: widok Terrego wzruszył ją silnie.

„Wszyscy są zdrowi, odpowiedział, wprawdzie nie byłem tam, ale przed tygodniem odebrałem list od Belindy. Doniosłem im że będę widział się z tobą i przesyłają ci tysiące serdecznych pozdrowień.

Po tych słowach nastąpiła chwila przykrego, kłopotliwego milczenia. Bladość Izy odbija jeszcze widoczniéj od karmazynowego aksamitu pokrywającego fotel na którym siedziała. Mój Boże! pomyślał Terry z gniewem i boleścią. jakże ona zmieniona, smutna, blada, jakże zeszczuplała?... Nie powiedział jéj tego jednak, tylko zapytał z wymuszonem spokojem:

„Cóż porabia Eryk, czy zdrów?

— Dziękuje ci, zdrów zupełnie.

Powiedziała to drżącym głosem, i znów nastąpiło milczenie. Terry nie bardzo umie podtrzymywać rozmowę, a Iza była zawsze mało mówiącą.

— Czy Eryka nie ma w domu? zapytał znów po chwili.

— Nie, odpowiedziała wpatrując się w pierścionki, które machinalnie obracała na palcu; jest na proszonym obiedzie, a że to obiad kawalerski, nie mógł mnie wziąść z sobą.

— A po cóż on bywa na kawalerskich zebraniach? chciał zapytać Terry ale powstrzymał się przecie.

Iza chciała coś mówić, widział to dobrze, bo twarz jéj rumieniła się i bladła na przemian, ale widział że ciężko jéj było to wypowiedzieć. Przemogła się nakoniec, i rzekła prędko, jakby się obawiała aby jéj nie zabrakło odwagi:

„Terry, chciałabym abyś mnie zaprowadził dziś jeszcze do teatru.

— Jakto, Izo...

— Do teatru *Nouveautés*. Chcę... chcę tam pójść. Muszę tam pójść.

Spojrzała na niego a oczy jéj zabłysły jakimś posępnym blaskiem.

— Już od kilku dni pragnę tam pójść. Zaprowadź mnie Terry.

Zacisnął usta. Więc to już nie jest dla niéj tajemnicą. Trudno mu zdobyć się na odpowiedź, a obawia się pytać.

— Nie odmawiaj mi, Terry rzekła błagalnie. Bądź dla mnie równie dobrym jak byłeś zawsze. Chcę koniecznie zobaczyć tę... baletniczkę.

Gorycz z jaką wymówiła ostatnie słowa, dowodziła jak znienawidziła tę kobietę, i jakie cierpienia zadawała jéj zazdrość. Odmówić jéj byłoby okrócieństwem; jednak Terry milczał ciągle, zmieszany jéj żądaniem.

— Wszystko zrobiłbym chętnie dla ciebie Izo, ale... czy to będzie właściwie?

— Muszę tam pójść... pójdę, rzekła z namiętną żywością, zwracając się ku niemu. Wszak nie odmawiasz mi Terry?

— Tak, nie odmawiam, odpowiedział. Ma się rozumieć że zaprowadzę cię tam z przyjemnością skoro życzysz sobie tego. Zresztą mamy jeszcze dosyć czasu. Ubierz się a ja tym czasem kupię bilety do loży, jeżeli jeszcze będzie można dostać.

— Jesteś dla mnie zawsze dobrym, Terry, rzekła spoglądając na niego z wdzięcznością.

Tak strasznie, tak strasznie zmieniona! powtarzał w myśli odchodząc; i czuł że mu była droższą jeszcze niż dawniéj. Nikt jeszcze w życiu nie wzbudził w nim tak silnego gniewu jak obecnie lord Dynely.

Iza ubrała się z największym pośpiechem i czekała niecierpliwie na Terrego.

„Mamy lożę, lady Dynely, rzekł wchodząc; szczęściem była jeszcze jedna nie zajęta. Fiakr czeka na nas.

Podała mu rękę i zeszli ze schodów. Czuł że drżała jak listek. Nigdy jeszcze nie widziała téj pięknéj i niegodziwéj kobiety, która oczarowała jéj ukochanego i odciągnęła go od niéj.

Nie miała odwagi mówić o niéj z Erykiem, on zaś już teraz nie pomyślał nawet nigdy o tem, aby ją wziąść gdzie z sobą.

Będzie się gniewał skoro się dowie że była w teatrze, bo nie ma zamiaru ukrywać tego przed nim. Ale ona musi koniecznie ją widzieć; musi przypatrzyć się téj kobiecie tak pięknéj że może wydzierać młodym mężatkom mężów, w miesiąc zaledwie po ślubie.

Kiedy weszli, teatr był już zapełniony. Zastali tam olśniewający zbiór piękności, toalet, światła i woni.

Iza usiadła drżąca na krześle i skryła się za draperyą zdobiącą lożę. Sztuka była już zaczęta, i *Czarownica* w swym olśniewającym ubiorze i ze swą wyzywającą i zwycięzką pięknością, znajdowała się już na scenie, elektryzując publiczność potęgą swego talentu i gry tak namiętnéj.

Iza patrzy na nią i rozpacz zakrwawia jéj serce Tak, jest olśniewająco, urokliwie, szatańsko piękna. Jéj głos srebrzysty, czarne oczy błyszczące jak

dyamenty, ruchy umiejętnie wystudiowane, wszystko to łączy się dla utworzenia cudownéj piękności; a Eryk ceni piękność tak wysoko. I ta kobieta jest jéj rywalką! Jakimże sposobem mogłaby go wyrwać z rąk téj upajającéj syreny?

Zasłona spadła i po chwili kilku mężczyzn weszło do pustéj dotąd na przeciwko loży. Lekki okrzyk wydarł się pomimowolnie z jéj ust: zobaczyła wśród nich męża.

Był widocznie po dobrym obiedzie na którym nie szczędzono wina. Policzki miał silnie zarumienione, a oczy pałały nie naturalnym blaskiem. Przechylił się i przez lornetkę patrzył na loże. Iza ukryła się za firankę, drżąc cała.

Terry poszedł także za jéj przykładem, ale oczy jego mają taki wyraz jakiego w nich dotąd nigdy nie widziała.

Rozpoczął się akt drugi. Lord Dynely zwrócił lornetkę ku scenie, na któréj znów znajdowała się Felicya, i przez cały akt już od niéj nie odwraca oczu. Przy końcu posypały się oklaski, w których lord Dynely uczestniczy z największym zapałem. Felicya ukazała się i jak zwykle bukiety posypały się pod jéj stopy.

Iza nie patrzała wtenczas na nią, utkwiła wzrok w twarzy męża, i widziała że wychylił się z loży i uśmiechnął do Felicyi; widziała że wyjął z dziórki od guzika bukiecik z drobnych różyczek i rzucił go na scenę.

Przytłumiony krzyk boleści wydarł się z jéj piersi. Ona sama przypięła mu ten bukiecik kiedy się z nią żegnał wychodząc z domu; teraz znajduje się on w rękach Felicyi, wybrała go z pośród innych, przyłożyła do ust, rzucając młodego Anglika ognistém spojrzeniem, i cofnęła się ze sceny.

„Jesteś w wielkich łaskach u Felicyi, Dynely, odezwał się jeden z towarzyszów i współziomków Eryka, z głośnym śmiechem. Wybrała twój bukiecik z téj całéj piramidy kwiatów. Szczęśliwy śmiertelniku! My biedni upośledzeni, nie możemy nawet myśléć o współzawodnictwie z takim ulubieńcem bogów.

Skończył się akt trzeci; Czarownica umiera na stosie, śpiewając swój straszny śpiew pogrzebowy,— pierwsza sztuka już skończona.

„O! jakżebym chciał być jednym z tych którzy stos podpalają! mruknął Terry, zaciskając zęby, i marszcząc brwi.

Pochylił się ku swéj towarzyszce i rzekł z wyrazem najżywszéj troskliwości.

„Może chciałabyś wrócić do domu, Izo? zbladłaś trochę, musisz być zmęczona.

Rzeczywiście nie trochę, ale strasznie była blada; nawet usta jéj pobielały, ale podniosła na niego pełne wdzięczności i rozpaczy oczy, i powtórzyła swą zwykłą odpowiedź:

„O! nie, dziękuję ci.

— *Czarownica* już skończona; teraz będzie wielki, nowy balet. Czy chcesz pozostać na nim?

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, Terry?

Nie idzie jéj wcale o ten balet, prawdopodobnie nawet nie spojrzy na scenę, ale naprzeciwko niéj siedzi Eryk, jéj mąż ukochany, jej utracone szczęście, woli więc być tu zkąd go widziéć może, niżeli w każdém inném miejscu.

Ale w téj chwili właśnie Eryk wstał i wyszedł z loży. Między pierwszą sztuką a baletem był dość długi przystanek. Widzowie śmieją się, żartują, rozmawiają o sztuce i Felicyi.

Nagle wszystkie lornetki zwróciły się do jednéj z lóż parterowych znajdujących się tuż przy scenie, w téj właśnie chwili kiedy znów podniesiono kortynę. Iza i Terry spojrzeli także w tę stronę.

W téj loży znajdowała się gwiazda przyświecająca scenie, Felicya oparta niedbale na poręczy krzesła w kosztownym i gustownym stroju, błyszcząca od dyamentów, poruszała wachlarzem z gracyą prawdziwéj Kastylianki, i słuchała z uśmiechem słów które jéj szeptał do ucha pochylony ku niéj mężczyzna.

Schylił głowę tak nizko że jego jasne włosy dotykają jéj kruczych splotów, do których przypięła bukiecik z drobnych róż. Tym mężczyzną był Eryk, lord Dynely.

To było już nad siły Izy; uchwyciła rękę Terrego, i rzekła ze łkaniem:

„O! Terry, wyjdźmy już, wyjdźmy prędko!

Wstał natychmiast, włożył na nią okrycie, podał jéj rękę i wyprowadził z teatru. Gdy ją wsadził do powozu, upadła prawie na siedzenie i ukryła twarz w dłoniach. Nie przemówili do siebie jednego słowa przez całą drogę. Cóż mogli sobie powiedziéć? Oboje znali równie dobrze bolesną prawdę. Jakimże sposobem możnaby pocieszyć to biedne, zbolałe serce?

Milcząc odprowadził ją aż do drzwi jéj mieszkania tam dopiero zatrzymał się i patrząc na tę twarz tak zmienioną i tak ciężką wyrażającą boleść, rzekł ściskając jéj ręce:

„Odwagi, Izo, za godzinę przyprowadzę ci Eryka.

Przytuliła na chwilę bladą i zimną twarzyczkę do rąk Terrego.

„Dobry, kochany Terry, rzekła z czułością.

Pożegnał ją i zniknęła za aksamitną portierą.

Rozdział III.

Okrutna piękność.

Bolesnego zawodu doznała Iza. Zaślubiona dopiero od pięciu tygodni, i mąż już się nią znudził. Nowa i świetniejsza piękność odciągnęła go od niéj.

Terry wiedział że to nastąpi kiedyś; przewidział to od pierwszego dnia, ale nie przypuszczał nigdy aby przeczucia jego miały się urzeczywistnić tak prędko, tak nagle! Wyszedł na ulicę cały wrzący gniewem przeciwko Erykowi Dynely, gniewem najsilniejszym, najstraszniejszym jaki kiedykolwiek zbudził się w jego duszy.

Jakże ona zmieniona! Jaka śmiertelna bladość pokryła bladą tę twarzyczkę, tak promieniejącą szczęściem w pierwszy dzień roku u stopni ołtarza! Jakie smutne, rozdzierające serce spojrzenia rzucają teraz te pełne słodyczy oczy! Gdyby była mogła jego pokochać, gdyby on był potrafił pozyskać jéj serce, gdyby nie stanął między nimi, jakżeby on starał się aby była szczęśliwą! Pracowałby tak usilnie nad tém aby jéj zapewnić życie błogie i szczęśliwe, że czułaby się dumną z tego że jest jego żoną, i nikt nie byłby zdolnym odciągnąć go od niéj.

Gorzkie przypomnienie przerwało jego rozmyślania. Ona nie należy do niego i nigdy już nie będzie należéć. Eryk musi wrócić do niéj lub umrzéć. Nie ma innego środka.

Biegnie prosto do teatru. Balet skończył się właśnie, publiczność się rozchodzi, ale w tym całym tłumie nie widzi Eryka. W końcu spostrzegł jednego ze znajomych który był w loży z lordem Dynely, przedarł się siłą przez tłum do niego, i rzekł kładąc mu rękę na ramieniu:

„Dobry wieczór, kochany Boville, jak się masz?

Boville spojrzał przez ramię i otworzył szeroko swe małe, jakby zaspane oczy.

— Czy być może, Dennison! Cóż cię tu sprowadza? sądziłem że jesteś w Alderschott. Bardzo mnie to cieszy że spotkaliśmy się z sobą.

— Szukam Eryka, odpowiedział Terry, przystępując do rzeczy. Widziałem go razem z tobą; gdzie jest obecnie?

— Tak, był razem ze mną, odpowiedział Boville z wymuszonym śmiechem, ale teraz jest w bardzo miłém towarzystwie; pojechał z Felicyą, a jest to prawdziwie czarująca istota! Możesz mi wierzyć, Terry, że nic nie przesadzam mówiąc, że Dynely jest najszaleńszym z jéj wielbicieli. Daję słowo, że nigdy nie widziałem nikogo tak...

— Gdzie mieszka Felicya? zapytał Terry z błyszczącemi gniewem oczyma, przerywając uwagi Boville'a.

Śpiące oczy Boville'a otworzyły się znów szeroko. Spojrzał na Dennison'a z ciekawością i z dziwnym jakimś uśmiechem, ale dał mu natychmiast adres Felicyi, i wzruszył ramionami widząc że Terry pożegnawszy go uściśnieniem ręki, pobiegł tam natychmiast.

„Czyby chcieli przywołać Eryka do rozumu i wysłali w tym celu Terrego? Jeżeli tak jest w istocie, to doprawdy obarczono biedaka pracą przewyższającą siły nawet tak rozrosłego jak on oficera od dragonów.

Tak, Terry chciał go przywołać do rozumu i wrócić żonie, i nie wahając się ani na chwilę, wsiadł do fiakra i pojechał przez bulwary na których było tak widno jak w południe.

„Będzie tam zapewne kolacya, pomyślał. Wszakże sławne są kolacye wyprawiane przez Felicyę po każdém jéj wystąpieniu. Na ten raz przynajmniéj los mi sprzyja; posiadam talizman otwierający mi drzwi jej domu, a chociaż dotąd nie chciałem z niego korzystać, to dziś. do pioruna, nie omieszkam tego uczynić!

Przeniósł się myślą do dnia, w którym dwa lata temu ocalił życie Felicyi, a przynajmniéj, co było dla niéj równie drogiém jak życie, uchronił ją od utraty piękności.

Była to stara historya rozbieganych koni i uratowanéj kobiety. Upodobanie Felicyi do ognistych koni doprowadzało ją już nie raz do tego że o mało nie skręciła karku. I w owym dniu także konie się rozbiegały i to do tego stopnia że niktby już nie zdołał ich powstrzymać; lejce wypadły z rąk Felicyi, a konie z podniesioną głową z rozognionemi oczyma pędziły jak szalone.

Droga prowadziła do bramy obszernego parku; jeżeli była otwarta Felicya mogła miéć jeszcze choć słabą nadzieję ocalenia ,lecz jeżeli przeciwnie!... drżała z przerażenia pomimo całéj swéj odwagi, i na pół-żywa, blada jak chusta, otwierała szeroko pełne przestrachu oczy, aby mogła dostrzedz coś przed sobą pośród tumanów kurzu. Zobaczyła nakoniec park, niestety! brama była zamknięta.

W téj właśnie chwili Terry Dennison nadjechał konno, i za pierwszym rzutem oka zrozumiał jak dalece niebezpieczeństwo było groźném. Myśléć o powstrzymaniu koni niepodobno, powyrywałyby mu ręce ze stawów zanimby je powstrzymać zdołał. Wypuścił konia galopem, umocnił się na siodle, i ze zręcznością jeźdźca cyrkowego a siłą Samsona, porwał Felicyę z powozu.

Konie wpadły na zamkniętą bramę; roztrzaskały powóz, a Felicya zemdlała na ręku porucznika Dennison'a.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 32.

(Dokończenie).

Przemarszczenie sukni przysłonięte jest oddzielnym kawałkiem materyału 26 cent długim, u góry 20 u dołu 24 cent. szerokim, na którym naszywają się falbany plisowane stopniowej szerokości (dolna 15, górna 8 cent.) składane w fałdy 4 cent. szerokie. Falbana otaczająca suknię jest 27 cent. szeroka; plisy zdobiące przód i kliny są po 11 cent. szerokie. Pasek spięty kokardą 18 cent. szeroką.

N. 6. Suknia dla panienki lat 14—16. Krój tuniki na arkuszu Nr XV, Fig. 56.

Odrobiona z piaskowego beżu i przybrana kokardami atłasowemi tego samego koloru, ma u dołu plisowanie 40 cent. szerokie. Tunikę można wszyć w pasek razem z suknią lub oddzielnie; wskazanie kroju podajemy na Fig. 56; lewą połowę przodu krajać podług litery (a), a prawą połowę skośnie ściętą od przodu oznacza linja kropkowana, obie części zszywają się z sobą w odstępie 22 cent. od dołu, poczem zakłada się fałdy podług ryciny 6 i Fig. 56 przez co długość boczna skraca się do 84 cent. Tylny bryt (b) po złożeniu fałd podług znaków łączy się z przodem.

N. 7. Sukienka princesse dla panienki lat 10—12.

Biała batystowa sukienka zapinana z tyłu ma wzdłuż przodu założoną kontrafałdę, otoczoną dwoma pasami wstawki; wykończenie sukienki i przybranie objaśnia ryc.

N. 11. Kapelusz okrągły słomkowy.

Skos indyjskiego muślinu 5 cent. szeroki, oszyty na około koronką drobno plisowaną, opasuje główkę a z boku przewiązany jest w węzeł, przepięty metalową agrafką. Wspaniałe przybranie stanowi wielkie strusie pióro; rondko od spodu podszywa się aksamitem lub garniruje koronką.

N. 12. Kapelusz z grubej słomki.

Sute a lekkie przybranie kapelusza stanowi skos indyjskiego muślinu 100 centym. długi, 18 szeroki, oszyty z brzegów plisowaną koronką 4 cent. szeroką. Opasanie główki i układ kokardy wskazuje ryc. 12; rondko podszyte aksamitem.

N. 13—14. Teka na gazety, pisma tygodniowe i t. p. Monogram na arkuszu Fig. 59.

Rycina 13 przedstawia tekę na dzienniki i pisma, skromną i praktyczną, bo chroniącą od zniszczenia pojedyncze numera pism wychodzących tygodniowo. Dla łatwego przekładania numerów dodane są przy grzbiecie teki wewnątrz ruchome zawiaski w które zakłada się dzienniki lub wysuwa za silniejszem pociągnięciem. Zwierzchnie pokrycie teki przedstawionej na ryc. 13 stanowi szare płótno, ozdobione wyszyciem ściegiem krzyżykowym, kordonkiem wiśniowym w dwóch cieniach. Desenie wyszycia znajdują się prawie w każdym N-rze; jeżeli zamiast płótna użyjemy innego materyału to pod wyszycie trzeba podłożyć kanwę. Rycina 14 wskazuje urządzenie wewnętrzne.

N. 17. Sznurówka do trzymania się prosto, dla dziewczynki lat 6—8. Krój na ark. Nr VI, Fig. 16—17.

Szyje się z mocno kiprowanego materyału lub z dymki angielskiej wziętej podwójnie i przestębnowanej jedwabiem dla wsunięcia fiszbinów. Do sznurowania wybijają się kółka jak w gorsecie; brzegi ostębnowane są taśmą lub listewką; naramienniki przykrojone podług Fig. 17 mają po trzy miękkie fiszbiny i złączone są z plecami za pomocą pasków po 18 cent. długich a 5 szerokich z materyału podwójnego lekko podwatowanych i przyszytych do pleców od punkta do krzyżyka. Odpowiednio do składu ramion sznurowanie przyciąga się lub rozluźnia. Pasek zapięty na klamerkę przyszywa się z boku do pleców od gwiazdki do dwukropka.

N. 18. Pas do trzymania się prosto dla chłopców lat 7—9. Krój na ark. Nr VII, Fig. 18—19.

Miękka żółta skórka i mocny drelich na poszewkę stanowią materyał na pas ryc. 18. Obie części pleców przykrojone ze skórki i drelichu mają podszyte listewki do wsunięcia fiszbinów i połączone są z sobą trzema elastycznemi paskami po 4 cent. długiemi a po 2 szerokiemi, przyszytemi podług odpowiednich liter (a) do (b), (d) do (e), (h) do (i). Naramiączki z podwójnie wziętego drelichu oszyte taśmą, mają wszyte grube sznurki podług linii oznaczonych na Fig. 19; przy końcach przyszyte są elastyczne paski po 11 cent. długie a 2 szerokie, zapinane na sprzączki przyszyte od f do g, z boku pleców. Naramienniki z plecami złączone są u góry szeroką elastyką, której przyszycie na Fig. 18 wskazuje litera (c) a na Fig. 19 gwiazdka i dwukropek.



N. 1—3. Ubrania letnie.

N. 1. Ubranie dla małej dziewczynki. N. 2. Suknia ze stanikiem z długą baskiną. N. 3. Suknia z tuniką i stanikiem z odcinaną z przodu baskiną. Krój stanika podług r. 1 w N. 31, deseń szlaków w N. 34.

N. 20 i 52 tudzież ryc. 21 w N-rze 31. **Suknia** ze stanikiem z bawetem i tuniką à panier. Krój na arkuszu Nr VIII, Fig. 22—30.

Przód tej eleganckiej sukni podaliśmy na ryc. 1 w N. 29 a w 32 załączamy całość na ryc. 52, przód spódnicy na ryc 20 a stanik na ryc. 21 w N-rze 31 Tygodnika. Suknia ta odznacza się wytwornym i świeżym gustem; forma ta i przybranie stosowne jest do materyi jedwabnych gładkich w połączeniu z pompadour, do pekinów w pasy węższe i szersze, grenadyny w pasy sznelowe i t. p. Stanik ten i tunika nadaje się zarówno do sukni z trenem jak i do kostjumów krótkich.

Suknia przedstawiona na ryc. 52 jest z materyi faille i grenadyny; spódnica z faille ma garnirunek 19 cent. szeroki, złożony z dwóch po 6 cent. szerokich grenadynowych falbanek, przyszytych bufą z faille z wąziutkiemi nagłówkami. Bufka przysłonięta jest prawie zupełnie tuniką upiętą wprost na spódnicy, której układ objaśniają ryciny i krój. Przód i boki tuniki przyszyte są o 15 cent. poniżej paska od sukni i podpięte od dołu w fałdy po 5 cent. głębokie, zwrócone w środku do góry a z boków ku dołowi. Proste tylne bryty tuniki mają u góry z boków wycięcia w ząb po 35 centym. głębokie, (patrz Fig. 30) których brzegi skośne objęte wypustką i ogarnirowane plisowaną koronką, przy wszyciu w pasek schodzą się zupełnie z sobą. Fałdy zakłada się pod wycięciem podług znaków podanych na Fig 30; boczne brzegi tylnego bryta przy złączeniu z bokami podpięte są w pukiel 25 cent. długi Fig. 30c wskazuje formę części á panier na które materyę kraje się przy brzegach dolnych prosto i zakłada w dwie fałdy z których pierwsza w całej długości jest 6 cent. głęboka, druga z przodu jest 6 w tylnym końcu 16 cent. głęboka. Jak to widać na ryc. 20 panier z przodu schodzi się skośno i założone jest brzegami na 4 cent. szerokości z tułu zaś wpuszczone jest na szwie łączącym bryt tylny z bocznemi. Stanik grenadynowy na materyi, ma z przodu wykrój kwadratowy; bawet u dołu z boków aż do środkowych części pleców ogarnirowany jest koronką; z przodu dodane jest plisowanie z faille tworzące rodzaj podłużnego plastronu. U góry przy wykroju szyi przody dopełnione są wykładanym kołnierzem. Mankiet (Fig. 28) ozdobiony kokardą, objęty plisą 3 cent szeroką, odpowiedni jest zarówno do półdługich jak i do długich rękawów. Plisowanie z czarnej koronki 4, 6 i 9 cent. szerokie, szeroka repsowa wypustka i wstążka atłasowa 5 cent. szeroka z kolorowym spodem stanowi przybranie. Guziki szlifowane czarne.

N. 22. Suknia z vêtement.

Do spódnicy fałdowanej z ciemno zielonego materyału; włożone vêtement z żółtawego ażurowo przerabianego materyału w deseń millesfleurs; długa kamizelka i plisowanie jest z tej co suknia materyi. Frendzla kwaścikowa i kokardy z wstążki dopełniają przybrania.

N. 26—28. Sukienka zastępująca fartuszek dla małych dzieci. Krój na ark. Nr IX, Fig. 31—33.

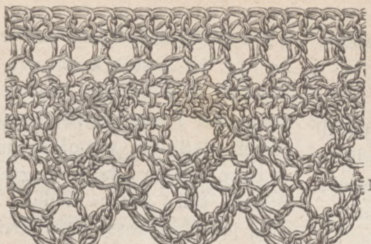
Na trzy kontrafałdy po 3 cent. szerokie trzeba przy krajaniu naddać materyału. Fałdy w pasie przeszyte i przyciśnięte paskiem niżej puszczone są wolno; sukieneczka taka z szarego płótna ozdobiona kolorowem wyszyciem, kładzie się na wierzch na ubranie dla zasłonięcia całej sukienki.

N. 29. Kaftaniczek dla małych dzieci. Krój na arkuszu Nr IV, Fig. 10—14.

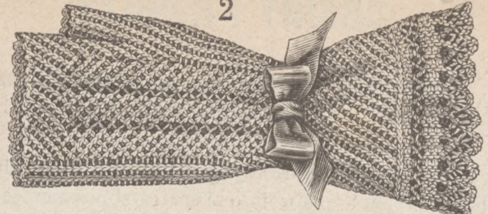
Może być uszyty z flanelki, piki, barchanu lub t. p. materyału podług powyżej załączonego kroju i ozdobiony wyszyciem z sutaszu, plecioneczki, krzyżykowem i t. p.

N. 30 — 31. Sukienaczka dla dziewczynki lat 6—8. Krój na arkuszu Nr XI, Fig. 45—47.

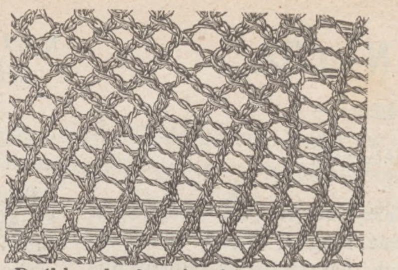
Odrobiona z perkalu kolorowego, szarego płócienka lub wełnianego materyału i ozdobiona szydełkową koronką podług ryc. 22 — 23 w N. 31, odpowiednia do rannego lub domowego ubrania, nie wymaga szczegółowego opisu, gdyż krój podaliśmy w naturalnej wielkości.



N. 5. Szlaczek robiony na drutach do mitenki ryc. 4.



N. 4. Mitenka robiona na drutach. Próbka tła ryc. 6. Szlaczek ryc. 5.



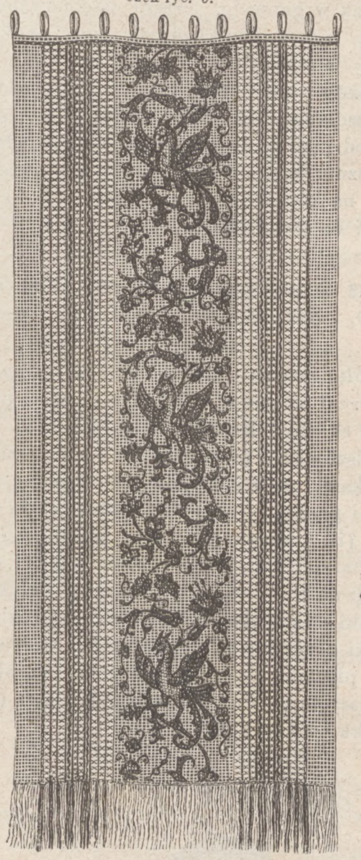
N. 6. Próbka tła do mitenki ryc. 4.



N. 7. Krawatka z koronką robioną przy tasiemce przetykanej złotem. Koniec naturalnej wielkości ryc. 8.



N. 10. Sukienka z fałdami dla dziewczynki lat 2 — 4.



N. 12. Zasłonka do okna ozdobiona haftem krzyżowym i kratkami ażurowemi. Próbka kratek ryc. 13 lub 15.



N. 11. Sukienka princesse dla dziewczynki lat 2—4.



N. 9. Krawatka wywodzona na tiulu. Próbka deseniu ryc. 4 w N-rze 34.

N. 37 — 40. Szlaki w guście sławiańskim.

Odpowiednie do przybrania bielizny na pościel lub stołowej, ręczników, koszul i t. p., wyszywają się podobnie jak ścieg krzyżykowy z tą tylko różnicą że w jedną stronę daje się ściegi długie które idąc z powrotem przeszywa się kilku ściegami krótkiemi. Rycina 37 wskazuje wyszycie luźnych ściegów; szlaki podane na ryc 39—40 ozdobione są kratką ażurową. Wykonanie zadziergiwanych ząbków brzeżnych wskazuje ryc. 38; krzyżyki lub szlaczek środkiem kratki podajemy na ryc. 39 i 40 gdzie kierunek strzałki oznacza zajęcie ściegu.

N. 34 —35. Sukienka dla dziecka noszonego na ręku. Krój na arkuszu Nr XII, Fig. 48—52a.

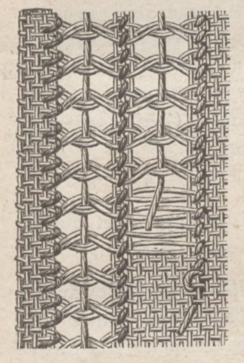
Uszyta z piki barchanowej i ozdobiona szydełkową koronką, lub wyszyta krzyżykami i zakończona plisowaniem, przedstawiona jest z przodu i z tyłu na ryc. 34 do 35. Krój podany na Fig. 48—52 nie wymaga szczegółowych objaśnień.

N. 36. Koszula z tyłu zapinana, kołnierz wykładany i mankiety dla chłopca lat 12 — 14. Krój na ark. Nr X, Fig. 34—44.

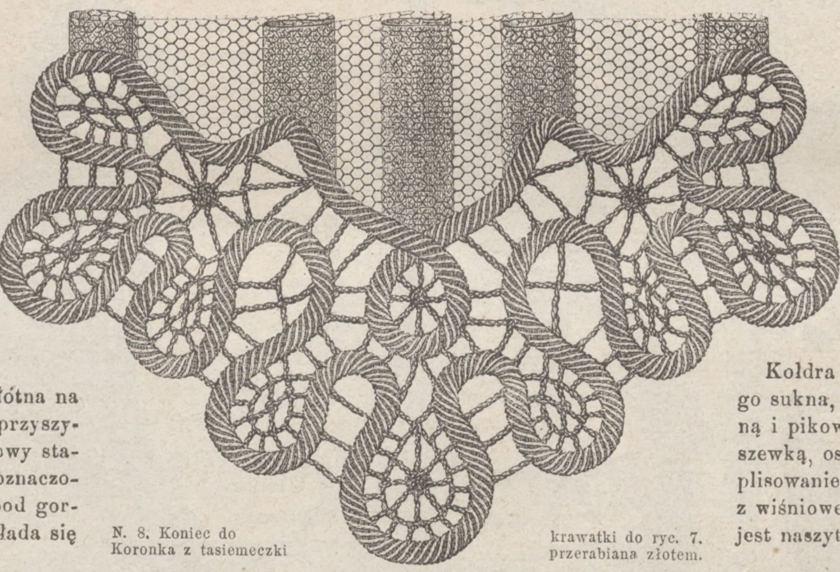
Ma krój taki sam jak zwykle w koszulach męzkich z tą różnicą że zapina się z tyłu i chroni tym sposobem gors od gniecenia wkładaniem zapinek. Gładki angielski gors z cienkiego płótna na podwójnej podszewce, przyszywa się do przedniej połowy stanu podług linii prostej oznaczonej na Fig. 34; u dołu pod gorsem zaszyta fałda zakłada się podług krzyżyka i punktu. Miary długości i szerokości stanu wypisane na formie; przyszycie podwójnego karczka z tyłu i paska około szyi wskazują odpowiednie litery. Zapięcie rękawa przykrojonego podług Fig. 38 wypada nie na szwie lecz w zwierzchniej połowie podług linii danej na Fig. 38. Kołnierz i mankiety uszyte są oddzielnie.

N. 41—42. Sukienka bluzkowa mogąca służyć jako fartuszek, dla dziewczynki lat 6 — 8. Krój na arkuszu Nr II, Fig. 4 — 6.

Krój i ryciny objaśniają łatwe odrobienie i przybranie sukienki z batystu, perkalu, płócienka lub t. p. która odpowiednio do materyału i wykończenia może być noszoną jako sukienka lub zastępować fartuszek całkowicie zasłaniający strojne ubranie.



N. 13. Próbka kratki stosownej do ryc 12.



N. 8. Koniec do krawatki do ryc. 7. Koronka z tasiemeczki przerabiana złotem.



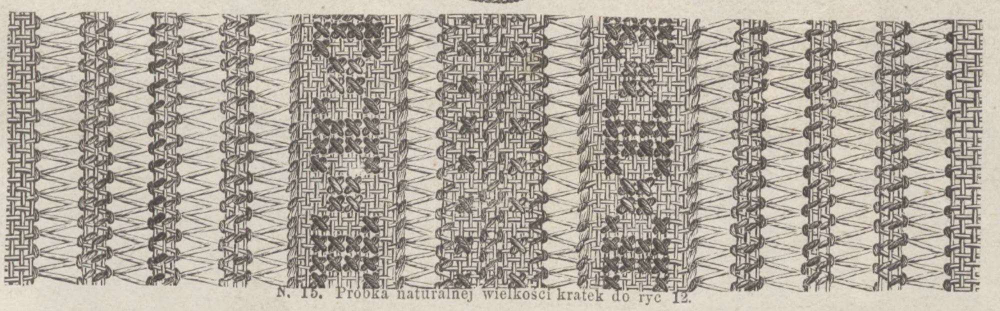
N. 14. Próbka roboty do kratki ryc. 15.

N. 43—44. Kołdra ozdobiona szlakiem i kratką ażurową na kanwie de congrés.

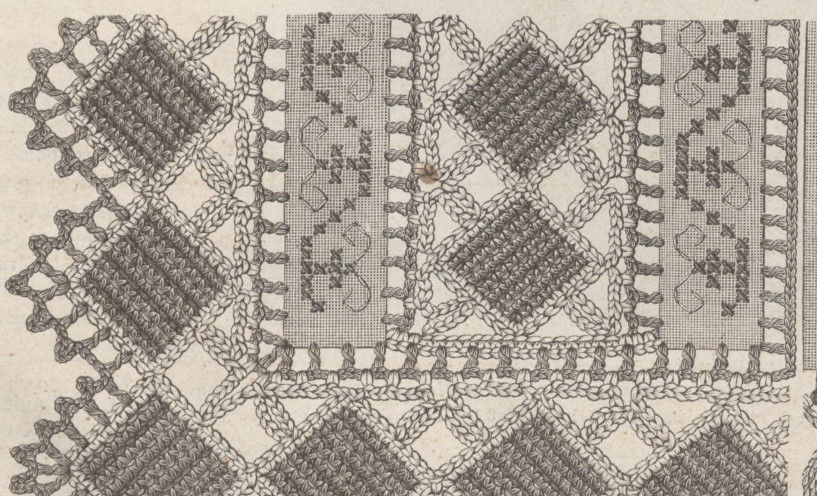
Kołdra z ciemnego wiśniowego sukna, z takąż lekko watowaną i pikowaną kaszmirową podszewką, oszyta na około brzegów plisowaniem 8 cent. szerokiem z wiśniowej materyi, ozdobiona jest naszytym na wierzchu szlakiem 11 cent. szerokim, z żółtawej kanwy de congrés, wyszytym filozelą kolorową, podług deseniu ryc. 43 (wielkość naturalna).

N. 45 i 48. Negliżyk ze szkocką wstążką. Krój podstawy na arkuszu Nr V, Fig. 15.

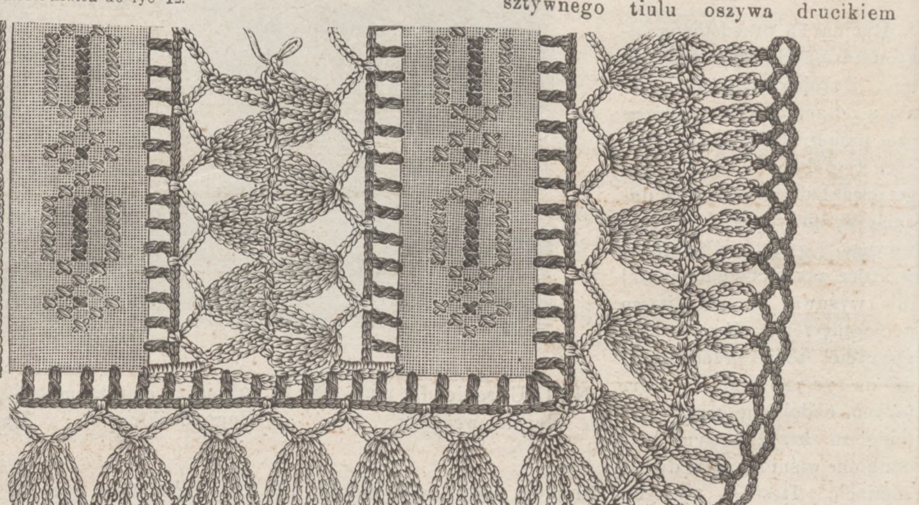
Podstawę czepeczka kraje się ze sztywnego tiulu oszywa drucikiem



N. 15. Próbka naturalnej wielkości kratek do ryc 12.



N. 16. Wzór naturalnej wielkości na serwetkę meblową. Robota szydełkowa i pasy wyszyte krzyżykami.

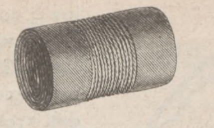


N. 17. Wzór roboty serwetki ściegiem krzyżowym i szydełkiem.

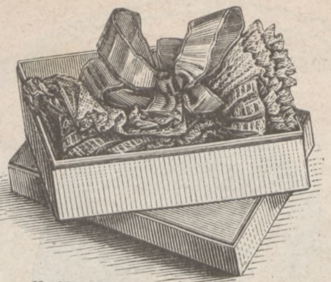
i obejmuje muślinem. Denko stanowi trójkąt muślinowy, z prostych brzegów liczący po 58 cent. a ze skośnej strony 84, który obcina się w końcach bocznych tak aby brzegi proste liczyły po 24 cent. a strona skośna 44 cent. długości. Brzegi oszyte są trzy razy koronką następnie sfałdowane z boków do 4 cent. i przyszyte do podstawy. Przybranie stanowi wstążka szkocka 48 cent. długa a 20 szeroka, oszyta wązką koroneczką w środku przemarszczona kilka razy do 6 cent. a w końcech sfałdowana do 4 centym., i przyszyta podług rycin 45 i 48.



N. 18. Kapelusz słomkowy dla małego chłopczyka.



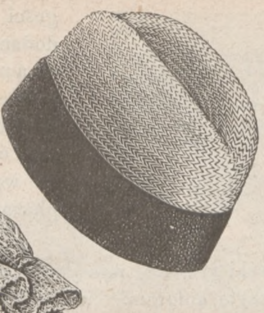
N. 24. Wałek sukienny do maszyny ryc. 23.



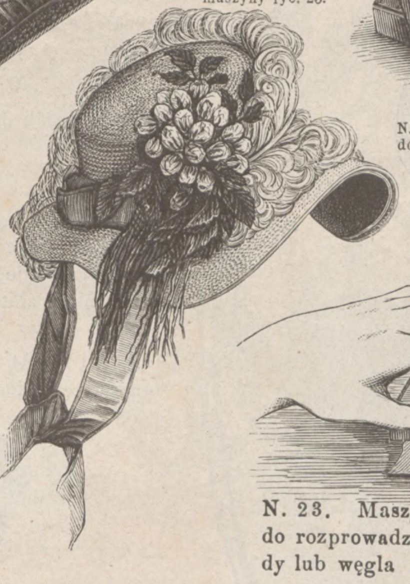
N. 22. Czepeczek negliżowy złożony do pudełka. Zobacz ryc. 21.



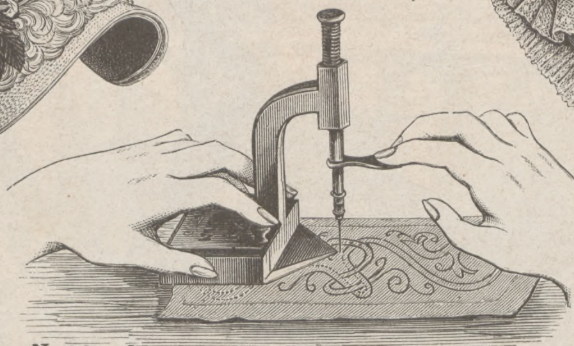
N. 25. Zwijanie wałka sukiennego. Patrz ryc. 24.



Nr. 19. Czapeczka słomkowa obłożona aksamitem dla małego chłopczyka.



N. 20. Kapelusz słomkowy ubrany piórami, wstążką i kwiatami.



N. 23. Maszyna do przekłówania deseni. Patrz wałek do rozprowadzania proszku z kredy lub węgla ryc. 24 i 25.



N. 21. Czepeczek negliżowy łatwy do zapakowania. Patrz r. 22.



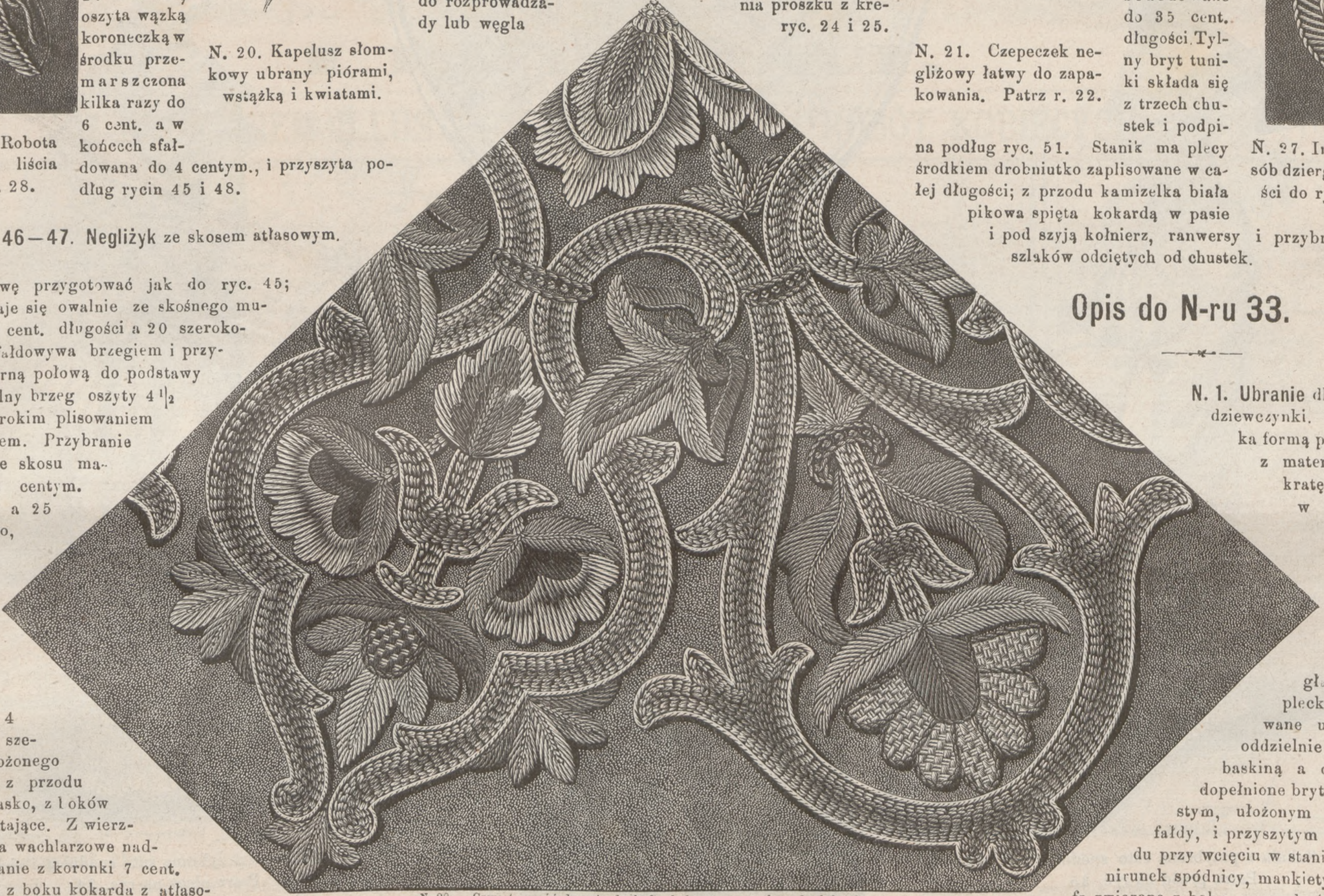
N. 26. Robota dziergana liścia do ryc. 28.



N. 27. Inny sposób dziergania liści do ryc. 28.

N. 46—47. Negliżyk ze skosem atłasowym.

Podstawę przygotować jak do ryc. 45; denko kraje się owalnie ze skośnego muślinu (22 cent. długości a 20 szerokości) przyfałdowywa brzegiem i przyczepia górną połową do podstawy której dolny brzeg oszyty 4 1|2 cent. szerokim plisowaniem muślinowem. Przybranie ułożone ze skosu materyi 78 centym. długiego a 25 szerokiego, oszytego koronką 4 centym. szeroką i złożonego w fałdy, z przodu leżące płasko, z boków lekko odstające. Z wierzchu denka wachlarzowe nadgarnirowanie z koronki 7 cent. szerokiej; z boku kokarda z atłasowej 6 cent. szerokiej wstążki.



N. 28. Czwarta część deseniu do haftu kolorowego na krzesło lub taboret. Patrz rycina 26 — 27,

N. 51 i 15. Ubranie letnie z chustek alzackich perkalowych.

Oryginalny materyał na suknię przedstawioną na ryc. 51 i 15 stanowią chustki perkalowe po 80 cent. w kwadrat; zamiast chustek można użyć perkalu i szlaków kolorowych. Na spódnicę 105 cent. z przodu, 112 z tyłu długą 220 obwodu dolnego mającą potrzeba pięciu chustek. Plisowanie na spódnicy nie ma szlaku u dołu tylko szlaki w podłuż wypadające, które powtarzają się z przodu na tunice; górny pas plisowania dochodzi tylko do tylnego bryta i ułożony jest z szerokości sześciu chustek. Dwie zszyte z sobą chustki stanowią przód tuniki, z boków ścięte są skośnie i sfałdowane do 35 cent. długości. Tylny bryt tuniki składa się z trzech chustek i podpina podług ryc. 51. Stanik ma plecy środkiem drobniutko zaplisowane w całej długości; z przodu kamizelka biała pikowa spięta kokardą w pasie i pod szyją kołnierz, ranwersy i przybranie ze szlaków odciętych od chustek.

Opis do N-ru 33.

N. 1. Ubranie dla małej dziewczynki. Sukienka formą princesse z materyału w kratę, wszyta w karczek gładki, ma plecki fałdowane ukrojone oddzielnie długą baskiną a od dołu dopełnione brytem prostym, ułożonym w sute fałdy, i przyszytym od spodu przy wcięciu w stanie. Garnirunek spódnicy, mankiety i szarfa związaną z boku, mogą być z gładkiego materyału.

N. 2. Suknia ze stanikiem z długą baskiną. Z materyału w kolorze êcru w deseń „mille fleurs,“ ma przód i boki spódnicy ubrane upięciem z dwóch oddzielnych brytów, ułożonych w poprzeczne fałdy i oszytych u dołu 14 cent szerokiem plisowaniem, zakończonem koronką bretońską. Bryty mają 80 cent. szerokości a 96 i 106 dłu-



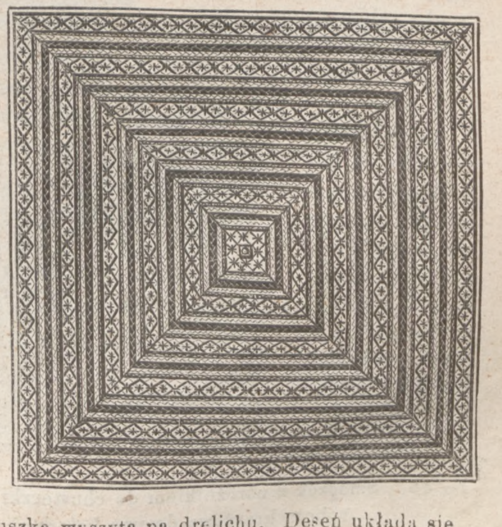
N. 29. Haft różnokolorowy na krzesło lub taboret. Patrz r. 26 — 28.



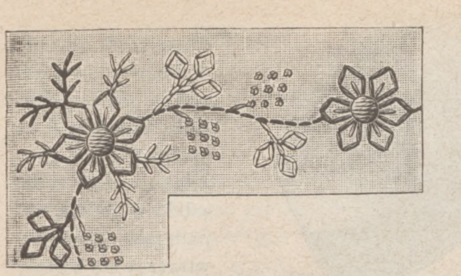
N. 30. Wyszycie na drelichu na poduszkę do kanapy. Deseń rozchodzi się w promienie. Patrz ryc. 31 — 32.



N. 32. Próbka wyszycia na drelichu. Patrz ryc. 30 — 31.



N. 31. Poduszka wyszyta na drelichu. Deseń układa się w kwadraty. Patrz ryc. 30 — 32.



gości. Z tyłu dodana jest drapeerya z prostego bryta, której różne odmienne wzory upięcia poda-

N. 39. Szlak do chusteczki ryc. 38, wyszyty ściegiem pospiesznym kolorami.

liśmy w poprzedzających N-rach. Stanik z gładką baskiną ozdobiony koronką plisowaną 5 i 7 cent. szeroką.

N. 3. Suknia z tuniką. Krój stanika z baskiną podług formy do ryciny 1 w N. 31, deseń szlaków ryc. 28 i 29 w N-rze 34.

Suknia z gładkiego granatowego lub ciemno zielonego

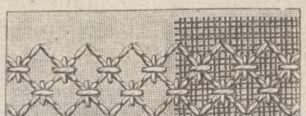


N. 34. Suknia z przybraną suto spódnicą i chusteczką. Patrz przód na ryc. 35.

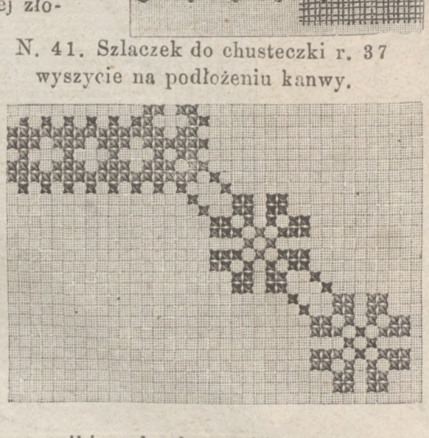
płótna ozdobiona jest szlakami wyszytemi na dość grubem płótnie białem bawełną ponsową i niebieską podług próbki ryc. 28 lub 29 w N-rze 34. Kratkę ażurową i frendzlę siepaną wiąże się także bawełną kolorową. Przy kołnierzu, klapkach i mankietach daje się frendzlę i szlak bez kratki ażurowej. Próbki deseniu są trochę zmniejszone.

N. 7—8. Krawatka z koronką robioną przy tasiemeczce przerabianej złotem.

Nowy rodzaj tasiemeczek koronkowych przerabianych złotem, służy do ozdoby sukien, krawatek lub t. p. Na rycinie 8 końce szerokiej krawatki białej lub czarnej tiu-



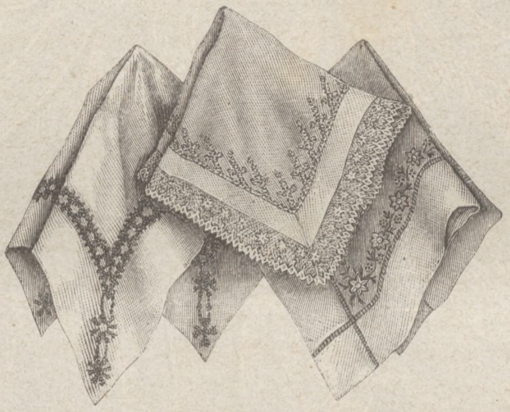
N. 41. Szlaczek do chusteczki r. 37 wyszycie na podłożeniu kanwy.



N. 43. Szlaczek z narożnikiem do chusteczki rycina 36, robota krzyżowa dwoma kolorami.



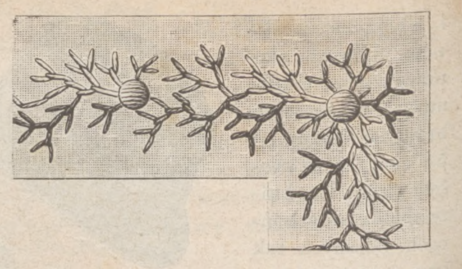
N. 33. Chusteczka z muślinu indyjskiego.



N. 36—38. Trzy batystowe chusteczki do nosa. Desenie na ryc. 39—44.



N. 45—46. Suknie przybrane plisami.



lowej założone są w trzy kontrafałdy podłużne, środek krawatki pozostawiony gładko, wiąże się w sze-

N. 40. Szlak do chusteczki ryc. 38 ściegiem cierniowym i płaskim.

roki pukiel i węzeł. Model z czarnego jedwabnego tiulu miał 18 centym. szerokości a 122 długości; kratki robić jedwabiem tego co tiul koloru, lub cienką nitką złotą.

N. 9 i ryc. 4 w N. 34. **Krawatka** tiulowa wywodzona bawełną średniej grubości, 12 cent. szeroka, 144 długa, w końcach oszyta plisowaniem 4 cent. szerokiem, ozdobiona była wstążką wąską kolorową gładką i w paski.

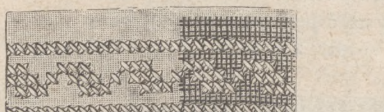


N. 35. Suknia z przybraną suto spódnicą i chusteczką. Patrz plecy na ryc. 34.

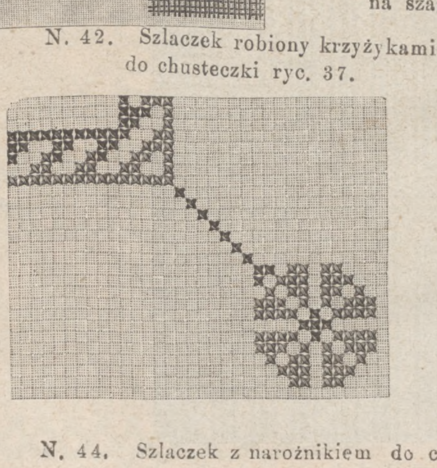
N. 10—11. Sukienki wycięte formą princesse dla dzieci lat 2—4.

Rycina 10 przedstawia z tyłu luźnę batystową sukienkę ozdobioną kontrafałdami 4 cent. szerokiemi i haftowanemi wstawkami 3 cent. i szlakami 5 cent. szerokiemi. Przód kraje się w jednym ciągu a do pleców dodana jest krótka fałdowana spódniczka. Nizko spuszczona szarfa z szerokiej kolorowej wstążki, przepięta jest z boków patkami haftowanemi 5 cent. szerokiemi a 16 długiemi.

d. n.



N. 42. Szlaczek robiony krzyżykami do chusteczki ryc. 37.



N. 44. Szlaczek z narożnikiem do chusteczki ryc. 36, robota krzyżowa dwoma kolorami.